

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 30 listopada 1952 r.

Nr 48 (382)

PIOTR DONIEC

STANISŁAW KISIECKI

CZYTAŁEM STALINA

Raclawice, pow. Miechów

CZYTAŁEM ja ostatnią pracę tow. Stalina „Ekonomiczne problemy socjalizmu w Związku Radzieckim”. Mam lat 60. Przeżyłem je w gminie Raclawice, o której pewnie wiecie nie tylko z dawnej historii. Tu odniósł zwycięstwo Kościuszko, ale w sto czterdzieści lat później myśli jeszcze walczyli na polach Raclawic. Lata się nasza krew a do zwycięstwa było daleko. Nęda wykrywała nam twarze i plecy, dzieciom skęcała kości i kizki. Mocowaliśmy się na ślepo z obszarnikami, kapitalistami i Bartoskami, którzy od czasów Kościuszki podrosli na wiejskich pańkach i wodzirejów ludowo - burżuazyjnych.

Czytałem ja ostatnią pracę tow. Stalina, i do głębi jestem przejęty dziełem tego wielkiego twórcy naszych czasów. Ale nie potrafię już, jak młodzi pisać naraz o wszystkim. Stary lubi dokumentnie. W ten list, moi drodzy, wejdzie nie więcej uwag, jak o jednej tylko stronie pracy tow. Stalina. Wybrałem na pierwszy ogień tę, która w kolejności rzeczy mówi o tym, co przeżyłem a co już obalone — o kapitalizmie. Mówi ona także o sposobach utrwalenia zdobyczy rewolucji i budowaniu socjalizmu.

Która to strona? 16-ta. Na tej stronie tow. Stalin rozprawia się z poglądami „marksistów od siedmiu boleści”. Przypomina wyjaśnienia Lenina. „Dzieje naszego budownictwa socjalistycznego wykazują, że ta nakreślona przez Lenina droga rozwoju całkowicie wytrzymała próbę”.

A jakąż to nakreślił drogę Lenin? Tow. Stalin formułuje ją pokrótce w punktach. W moim liście będzie mowa tylko o tych punktach.

„a) nie zaprzeczając pomyślnych warunków dla zdobycia władzy, proletariatu powinien wziąć władzę nie czekając chwili, gdy kapitalizm potrafi zrujnować wielomilionową rzeszę drobnych i średnich wytwórców indywidualnych”.

Odczytałem z rozczuleniem i myśli przeniosły mnie naraz w sanacyjne czasy, w lata nieopisanego nędzy, kiedy pobrała za podatki, którego nie byłem w stanie uiścić, wyrzucił moje trzymiesięczne dziecko z poduszki a poduszka zabrakła. Natomiast obszarnikowi z pobliskich Janowiczek podarowano wówczas 4000 zł podatku, bo... budował sobie pałac. Taka to logika kapitalizmu. Ja wówczas mieszkalem w chlewie.

„b) wywłaszczyć środki produkcji w przemyśle i uczynić je mieniem ogólnie - narodowym”.

Na ten temat często dyskutuję z rolnikami małego i średniorolnymi, którzy pytają, kto zbiera a gromadzi dzisiaj nadwyżki, które dawniej szły z fabryki i kopalni do kieszeni fabrykantów. Odpowiedź dostają ci chłopie ode mnie taką: wszelkie nadwyżki, które szły do kieszeni bankierów i zostawały w pasywnych czy sposób zużywane, owe nadwyżki nie należą dziś do ludzi pojedynczych, ale stają się mieniem ogólnonarodowym, co znaczy, że pieniądze te napowrót wracają do tych, co je wypracowali w postaci szkół, dla dzieci małego i średniorolnych chłopów, a w przemyśle dla dzieci robotników. Te nadwyżki stają się ogólnonarodową inwestycją dla rozbudowy naszego przemysłu. Z nich wyrasta tysiące nowych fabryk, podstawia naszej sily i rozwoju. Za nie odbudowuje się Warszawa, Wrocław, Gdansk, za nie buduje się Nowa Huta, Tychy, osiedla robotnicze, szpitale, i ośrodki zdrowia, niemal bezpłatne. Za czasów sanacyjnych i jeszcze starszych, za czasów carskich, wszelkie źródła dochodu, które dawały masę robotniczo - chłopskie szły do kieszeni fabrykanta i obszarnika, szły do zagranicznych banków i bankierów.

„c) co się tyczy drobnych i średnich wytwórców indywidualnych, to stopniowo jednoczyć ich w spółdzielnie produkcyjne, tzn. w wielkie przedsiębiorstwa rolnicze, w kolchozy” i następnie „d) wszechstronnie rozwijać przemysł i tworzyć dla kolchozów wspólną bazę techniczną wielkiej produkcji”.

Jakże się cieszę, że kraj nasz, który wszedł na nową drogę budowy socjalizmu może się wesprzeć o takie wspaniałe wskazania. Są one jakby Planem dla naszych planów: 6-letniego, potem 5-letniego i następnego. Nie wiem czy akuratnie określić — są jakby strategią całego naszego marszu do socjalizmu.

Nikt nie jest w stanie zaprzeczyć, że nasz przemysł rozwija się z niebywalem, radzieckim uprost rozmachem, aby Polskę uczynić silną i bogatą a wieś wywyższyć na wspólny z przemysłem poziom, aż. też uprzemysłowić rolnictwo.

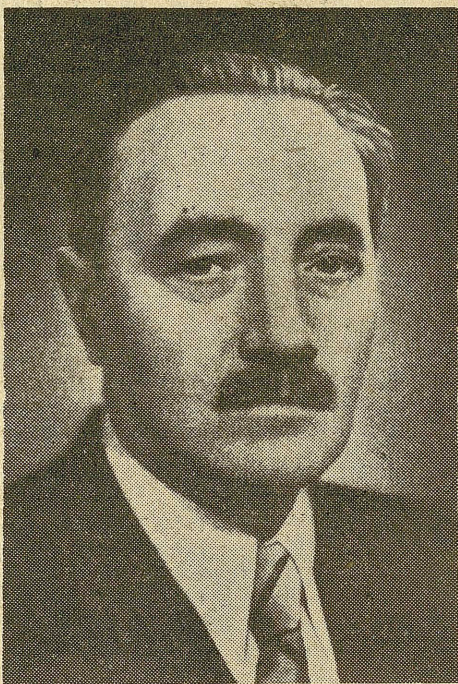
Ale to nie znaczy, że mamy tylko czekać na produkcję maszyn, traktorów, energii elektrycznej, na wózwo itd. Również to, że summy w przedmiocie produkcji środków produkcji w naszych nowych hutach i kombinatach fabrycznych, nie może nas zbudzić, że równowaga między rolnictwem a przemysłem przez to od razu naskoczy. Naród nasz wszedł na drogę wytycznych tow. Stalina i w tym sensie, że w okresie przejściowym niejako, kiedy przemysł jeszcze wszystkiego co zamierzył, dać krajowi nie może, a wieś z braku techniki nadmierne pozostaje w tyle — w tym okresie wieś polska i przemysłowi pomóc i samą siebie podnieść może przez zmianę organizacji produkcji, przez rozwój spółdzielczości.

„e) dla celów zaś spójni ekonomicznej miasta i wsi, przemysłu i rolnictwa zachować na pewien czas produkcję towarową (wymiana w drodze kupna - sprzedaży) jako jedyną możliwą do przyjęcia dla chłopów formę więzi ekonomicznej z miastem i rozwiązać pełną parą handel radziecki, państwowy i spółdzielczy - kolchozowy, wypierając z obrotu towarowego wszystkich i wszelkich kapitalistów”.

Konar kapitalizm przez długie wieki zapuszczał swoje korzenie w głąb życia społecznego i prywatnego — aby takowe powyrzucić należy do głębi posłużyć się ekonomiką Lenina, a rozwiniętą przez tow. Stalina. Trzeba więc długo i stopniowo uświadamiać masę, aby w wymianie towarowej pomiędzy miastem a wsią coraz mocniej przywiązywały się do ośrodków uspołecznionej sprzedaży to wcale nie tak znowu długo. Mamy już za sobą kawał dziejów, w których czynna i sprężysta praca w sklepach spółdzielczych wydobyła chłopów spod władzy spekulanta i pokątnego handlarza, wydobyła z nawyków handlarzy i kierując się nauką wodzów socjalizmu należało pamiętać, aby człowiek pracy nie stał się ani trochę narzędziem wroga, bo wrog zawsze obraca je przeciw socjalizmowi.

Doniec Piotr

W MOICH RODZINNYCH OSTROŻANACH



Przed laty Wasilewska nazwała te okolice — „ziemię w jarzmie”.

W Drohiczyźnie dowiedziałem się, że nasza gmina należy teraz do nowo wyodrębnionego powiatu Siemiatyckiego. Pozostała na krańcu powiatu ale co 20 km, to nie 40. Z Bielska i Partii i Radzie trudno było dotrzeć do naszych nadbużańskich ostępów.

A tradycje mamy piękne. Tutaj w 1940 roku powstał sowchoz. Fornale ostrożańskie woleli sowchoz, niż prywatne parcele. Pracowali świetnie. Wówczas 70-letni Szymon Bączewski został w owym roku pochwalony w gazecie. Kilku przodowników pojechało do Moskwy na wystawę rolniczą. Stary Jan Kisiecki, kiedy o tej podróży opowiadał, zawsze się pochwalił — Lenina widziałem na własne oczy.

Do nas wyzwolenie nadeszło najwcześniej. I fornale śmiało parcelowali folwark dziedzica Ciecińskiego jesienią 44 r. Jeszcze podczas okupacji wykuli się Kolo Partii. Od lat jednak porasta już trawa nad mogiłami tych pierwszych. Zginęli kolejni. Zginęli w dniach rewolucji w kotle naszej nadbużańskiej gminy.

Był to bowiem kotłol nie na miarę gminy ani nawet powiatu. Kotłol dla ścieków kontrewolucji: NSZ-owców i Mikołajczyków. Przyczółek leśny, jak wyobraził sobie ci Denikinowcy, dla rozpalenia wojny domowej. Padli więc nasi partyjniacy. Ale ich walki starczyły aby zdusić i zadławić tę „na kraj cały” (idiot!) sposobną „wojnie domową”.

Dla okolicy była to jednak duża strata. Zabrakło najzdolniejszych, najlepiej i najgłębiej rozumiejących sojuszników robotniczo - chłopskich. Wyhodowaliśmyż jednak „komunistę wojennego” w naszych stronach. Dynamikę rozmachu należało utrzymać. 38 rodzin fornalskich stworzyło jakby nową wieś obok 15 rodzin zagonywskich szlachetkowców na kolonii. Pergaminy i kilkunastohektarowe gospodarstwa tamtych z kolonii mobilizowały klasowo fornali. Tak było w pierwszych latach, w tych latach, kiedy padli przywódcy. Potem był okres gromadzkowczy. Uciekli Ostrożani, wiatr szumiał tylko nad mogiłami bohaterów. Wspominano ich w powiecie, dodając za każdym razem — zagasło nam ognisko heroizmu, teraz tam zwyczajna wieś, na cóż...!

EDWARD BERNSTEIN

W SPÓŁDZIELNI

Gdzie dawniej sale kolumnowe —
Ławy żywiczne i sosnowe
Poustawiano pod ścianami,
W oknie dębowa biblioteka
I obraz w pozłacanej ramie
Na czyjeś czujne oczy czeka.

Dzisiaj historia tutaj mieszka
Wśród sal kamiennych i wieczorem
Dziewczęta do zabawy skore
Spiewają pieśni w długim zmierzchu.
Oczy wędrują po stronicy,
Gdzie ludzie martwią się i śmieją
I odbijają się w żrenicach
Zyjące w kartach książki dzieje.

A pastuch — skoro świt — na łąkach.
Płomień żywiczne drwa osmala,
Wolno ognisko się dopala,
Na mokrej trawie leży książka.
Oddechem zbiegła ręce grzeje,
Palce różowy brząsk prześwieta,
Derkacz zawodzi jak basetla
I cierpko grają świerszcze. Dnieje.
A gdy nad ogniem głowę zgina
I cienie kładą się na skroniach
Ujrzyś jak w szorstkich dżierz dłońiach
Okładkę z twarzą Kórczagina.

P Ł O T

W czterdziestym czwartym roku, w lecie,
Susząc onuce przed odjazdem,
Żołnierz sowiecki na sztachecie
Wyskrobał scyzorykiem gwiazdę.

I grzebień plotu wyszczerbiony
Wyszczerzał zęby do ulicy.
Gdy się słonecznik nad nim skłonił —
Wnet go objęli ulicznicy.

Wiosennym deszczem zadyszany
Namóki i skrzypiał w skwarze lata.
Jesienią na nim rozlepiano
Czerwony, przedwyborczy plakat,

Jak na zmarszczonej, starczej twarzy
Uśmiech, co spływa wprost do serca.
Cóż? — stał na straży wielu zdarzeń
Zwyciestwa, szczęścia i braterstwa.

WIESŁAW JAZDZYŃSKI

Rozmowy o Kraju Rad

ROZMOWA potoczyła się w sposób zupełnie nieoczekiwany. Wyobraźcie sobie tylko moją sytuację. Nastuchałem się w powiecie, że Maria Górnikowa to człotowa aktywistka w Leborskim, odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi, dyplomem uznania, powiatową prezes ZSL, radna, zorganizowała w swoim Febienicu zespół uprawowy i ponadplanowego wykonania dostaw, była na wycieczce w Kraju Rad...

A kiedy wreszcie dotarłem do Febienicy? Przystanęliśmy na obornym podwórku, po którym kroczyli się obornie, rzadko spotykane na indywidualnym gospodarstwie, stado kur. Nie jestem znawcą tej dziedziny hodowli, kury wydawały mi się jednak dorodne i na pewno rasowe.

— Ano, sami wiecie, Bóg biednym sprzyja, czego jak czego, ale dzieci to nie brak. U nas wypadło dwanaścioro z jednego, jednego hektara, jaki posiadali rodzice...

Tylem się dowiedział o przeszłości Marii, bo otoczyły nas zeszad kury i o nich też głównie była mowa. Prawde mówiąc zniecierpliwiełem się początkowo. Ot baba i tyle! Ciagle o kurach, że do niedawna nie cieszyły się należącym szacunkiem we wsi, spychano je na szary koniec w gospodarce po koniach, krowach, świńach, gęsiach itd. Też mi problem — uznawanie kur w gromadzie! Myślałem nawet, że pomyłkowo natrafiłem na jakąś inną Marię Górnik. Jakże bowiem taka Zosia z „Pana Tadeusza” może przodować gromadzie, a nawet powiatowi?

— A jakie dowiedzenia przywileżicie ze Związku Radzieckiego? — zapytałem, chcąc przejść do zasadniczego tematu.

— A proszę was bardzo. I., znowu o kurach.

— W Kraju Rad, koń jak wiadomo wielkiej roli nie odgrywa, pracują za niego maszyny, natomiast kury doczekały się uznania.

Maria zapala się, kiedy mówi o 200 ha gruntu przydzielonego przez kolchoz specjalnie dla kur. Olbrzymia ta przestrzeń podzielona jest na kwatery, gdzie tysiące Leghornów skubie młode, zielone listki specjalnych mieszanek.

Wzięło mnie to trochę. Liczyły teraz razem. Toż to prawdziwa rewolucja w hodowli! Jeżeli w kolchozie „Pobieda” na 18000 kur równo 8000 to nosiki, dające po 200 jaj rocznie, to jedna tylko kolchozowa ferma produkuje każdego roku 1.600 000 sztuk jaj!

Stoi Maria pośród swoich kilkudziesięciu kur i oświadcza mi, że ich hodowla to cała nauka, nie znana u nas, choć każda na wsi gospodyni kilka kurrek zawsze trzyma.

Nie stosujemy mieszanek zielonych, a trzeba, nie dajemy kogutkom i kokoszkom kredy na wzmacnienie kości, a także trzeba. Kłoby pomyślał!

Jakby ktoś czarodziejską różdżką dotknął — rozgłaskała się gromada Febienic po przyjeździe Marii ze Związku Radzieckiego. Ile więc może mieć już kur? Pytałem soltysa, ale bo to chłop wie. Przelomu w hodowli dokonały kobiety, czytamy o nich w miejscowej prasie, wybijają się w powiecie i kraju.

Rad nierad idą na wieczorne posiedzenie Kola Gospodyń Wiejskich w sprawie... kur. Te niepozorne ptaki domowe, stanowią jeszcze jeden z elementów przyspieszających socjalizację wsi. Dość wspomnieć, że na porządku dziennym będzie sprawa odcieczia ziemi na wspólną fermę i kierowisko dla kur. Tak, to już mała rewolucja...

Niech z innymi staje „do pracy u podstaw”.

Z Drohiczyzna jechałem w towarzystwie soltysów z dwóch sąsiadujących z Ostrożanami gromad. W Narożkach powstał Komitet Założycielski. Wieś (60 gospodarstw), dzieli się na dwa obozy: bogaczy i małorolnych. Na Ziemie Odzyskane wyjechało 6 rodzin, do przemysłu 20 osób. Teraz nadchodzi drugi etap: ruszyć naprzód na miasteczku. Soltys nie jest w Komitecie. Średniak 8 hektarowy ma sad, pasiekę a GRN co roku przynagla go do wypełnienia zobowiązań. Kłyzówka natomiast (48 gospodarstw) w całej gminie produkuje w zobowiązaniach. Prowadzi ją soltys Barszczewski (3 ha), radny, hodowca znakomity (w skupie — 200%). Wieś to uwłaszczeniowa, chłopska: w większości 4—8 ha i trzech bogaczy.

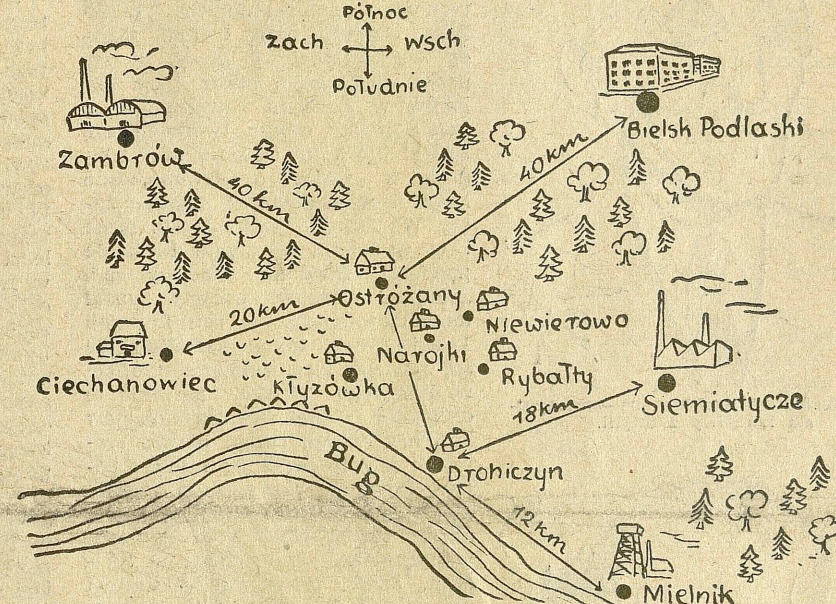
Soltys pokłócił się. — A zapomnieliś — uniósł się Barszczewski — jakoś w 38 r. sprzedawali prosiaki w Drohiczyźnie? Kupiłeś co? Dzieciom dwie kajzerki. A dziś? Gdzieś to najpierw wstąpił? Do gospody podjęć jak się

patrzy, choć nawet niczego nie sprzedawałeś...

Wiecej maszyn, wiecej domów, bóg wie czego, ale my — powiadasz — tego nie widzimy? Czemu lżesz, kiedy i tu, u nas, z lasów wychodzi już przemysł. Bielsk — raz, Zambrów — dwa, Siemiatycki — trzy, Mielnik — cztery, Bug — pięć. Mało?

Konia nawet ci dali a wleciesz się jak na szkapie. Kiedy dzisiaj taki czas nadchodzi, że trzeba klusem... Tu Barszczewski, niski, krep, siwiejący, o twarzy otwartej i budzącej zaufanie trzepnął ręką po gazecie. Była to „sejmowa gazeta”.

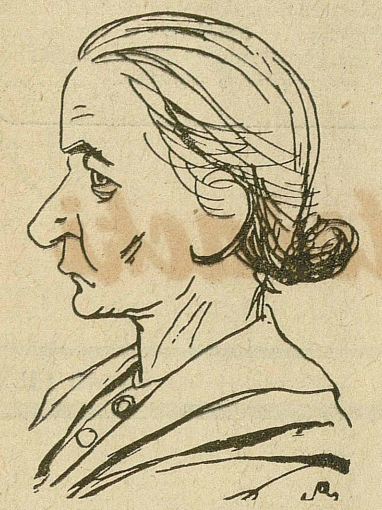
„Praca u podstaw” z byłych fornali ostrożańskich uczyniła gospodarzy. Przyczupnęli „na swoim”. Stali się „posiadaczami” koni, krow i świń, stali się „sprzedawcami” zboża, żywca i mleka. Zony ich przesyły od kądzieli do krosien. W izbach szafy i lózka metalowe, znikły dawne kufry, zniknęła stołki i ławki na rzecz krzesel. W dniach moich odwiedzin tacy to ostróżanie zasiedli nad „sejmowymi gazetami”. Rozejrzeć (dokończenie na str. 2)



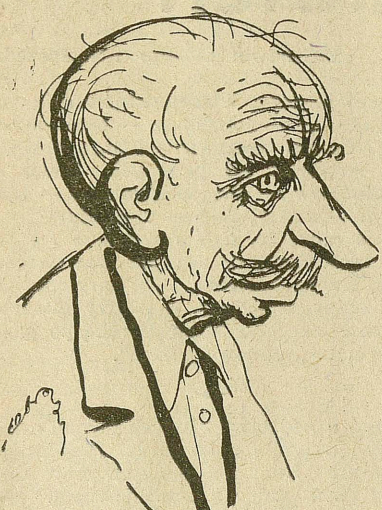
WŚRÓD POSŁÓW

MARIA KOWALSKA

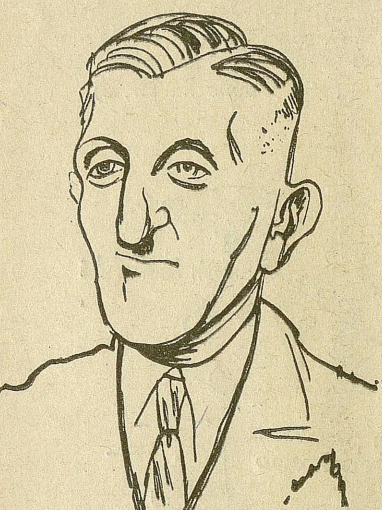
POWIEŚCI O BRATERSTWIE BRONI



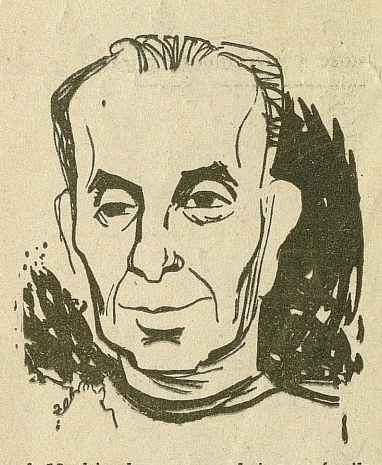
Postanka Julianna Leśnikowa — gosp. Indywidualny, Sulicze pow. Wejherowo.



Poseł Grzegorz Bil z Bardzic k.Radomia.



Poseł Franciszek Królikiewicz — maszynista kolejowy z Gdyni.



Poseł Markiewka — przodujący górnik. Rys. J. Zebrowski

PRACOWANIE „tematu żołnierskiego” było jednym z podstawowych postulatów stawianych przez polityków kultury pod adresem współczesnej naszej powieści. Jest to pojęcie dość szerokie — obejmuje ono dzieje ostatniego 13-lecia ukazane pod kątem doniosłej sprawy narodzin ludowego wojska polskiego, straży wolności i pokoju, wielkiej szkoły obywatelskiej służby. „Temat żołnierski” zatem to i obraz walk AL, to również obraz życia armii Polski Ludowej, jej gorące zaangażowanie z życiem narodu, jej doniosłej roli w codziennym trudzie kraju. Najpiękniejszy chyba jednak i najdonioślejszy „temat żołnierski” zawierają w sobie bohaterskie tradycje początków ludowego wojska. Dzieje Dywizji Kościuszkowskiej, dzieje pierwszych bojów polskiego żołnierza u boku zwycięskiej Armii Czerwonej. Tematyka losów Dywizji Kościuszkowskiej to coś więcej zresztą niż „temat żołnierski”, „batalistyczny” — jest to wielkie zagadnienie formowania się nowej świadomości bojowników o socjalizm, o całkowite przekształcenie oblicza kraju pod wpływem zetknięcia z życiem Związku Radzieckiego. Siła agitacji nowych form ludzkiego życia, siła oddziaływania idei socjalizmu, najdonioślejsze zjawisko naszych czasów, w żadnej tematyce chyba nie wystąpi z tak przejmującą wyrazistością, jak w tej historii o wzroście nieugiętych bojowników nowego życia. I w żadnej innej tematyce nie uświadczymy się tak dobitnie nową treść stosunków między narodami niesioną przez epokę socjalizmu — prawdę wiernego, rzetelnego braterstwa, prawdę niewidzianą w dziełach pomocy i przyjaźni.

Losy I Armii wystąpiły jako temat pierwszoplanowy w trzech dotychczas opublikowanych książkach. Ostatnia część trylogii Wandy Wasilewskiej — „Rzeki płońa” przyniosła szeroki obraz życia Polaków w Związku Radzieckim w czasie wojny, obraz tworzenia się kadry, która tak istotną rolę odegrała w walce o oswobodzenie kraju i w budowaniu nowego życia. W „Drugiej linii” Józefa Hena i w wydanym niedawno I tomie powieści Bogdana Hamery p.t. „Śladami czołgów” podjęty został temat wychowawczej roli formacji I-szej Armii, temat kształtowania się nowego typu żołnierza i oficera ludowego wojska. Książki te obrazują różne wycinki dzieł I Armii tworzą razem bardzo szeroki i piękny zarys jej pracy i bojów. Powieść Wasilewskiej zostanie w naszej literaturze w dużej mierze dzięki głębokiemu zobrazowaniu ideowej roli obywateli w Siłach, dzięki mocnemu akcentowaniu przysięgi I Dywizji, dzięki rozdźwiękowi poświęconemu bitwie pod Lenino i walce artylerii przeciwlotniczej pod Kijowem, „Druga linia” opowiada, jak wskazuje tytuł, nie tyle o walce, ile o trudnej pracy tyłów, o montowaniu nowych oddziałów i szkoleniu kadry oficerskiej, o przerabianiu gromad uchodźców i rozbitek w zwarte szeregi świadomych żołnierzy wyzwolenia. Hamera rozpoczyna powieść w momencie wyruszenia pułku jego bohatera na front, kończy I tom obrazem walk na przy-

czółku mostowym na lewym brzegu Wisły.

Mimo niewątpliwych zalet książek obu młodych autorów, powieść Wandy Wasilewskiej ma nad nimi niezaprzeczoną przewagę, bije ich nie tylko latami doświadczenia ideowo — artystycznego wybitnej pisarki. Bije ich szerokością obrazu literackiego, bogactwem zobrazowanych spraw i losów ludzkich. Właśnie zestawienie tych trzech powieści wykazuje naocznie że nie da się zbudować postaci pozytywnego bohatera walk o niepodległość w szeregach I Armii bez zarysowania jego doświadczeń w Związku Radzieckim, bez ambitnej i trudnej próby zobrazowania jego zetknięcia z życiem Kraju Socjalizmu w heroicznym okresie wielkiego egzaminu, jakim stała się dlań wojna przeciw faszystom.

Ten problem podjęła Wasilewska, przeprowadzając go doskonale w obrazie przełomu ideowego w życiu porucznika Zabielskiego, w którym przecież właśnie zetknięcie z ludźmi radzieckimi i prawdą ich internacjonalizmu, ich rozrzuć przyjaźni dla człowieka, wyzwoliło możliwości pełnego zrozumienia zbrodni i dążeń nowego życia. Zarówno Hen jak i Hamera, ograniczając dzieje ideowego dojrzewania swych bohaterów wyłącznie do okresu oddziaływania atmosfery formacji wojskowej i wpływu kolegów oraz zwierzchników i wychowawców, rezygnują całkowicie ze zobrazowania poprzednich doświadczeń Dynkowicza i Krzemniaka. To w istoty sposób zawęża problematykę ideowego przełomu obu bohaterów, upraszcza rysunek psychologiczny ich postaci, ruguje szereg problemów z ideowymi dyskusjami toczonych w ramach powieści.

Wasilewska przemyslała głęboko tragiczne ścieżki i manowce, po których błądził naród polski w latach okupacji. Straszny wstrząs klęski nie od razu zdjął bierność z polskich oczu. Zatruci czadem emigracyjnej propagandy, ludzie gotowi byli mozołnie wskrzeszać zdruzgotane bombami wrześnie miły, na nowo płacić krwią stare mactwa klęki. Prawde znali najlepiej i najczujniej, ci, którzy już w pierwszych dniach wojny wiedzieli, że istnieje jedna tylko siła zdolna zdruzgotać faszizm — siła komunizmu. W tych latach roku potężnego tygla, w którym przepiękno świadomości tysięcy Polaków odegrały ziemie Związku Radzieckiego. Wasilewska wskazuje, że nowe kadry polskiej rewolucji wyrosły nie tylko z grupy komunistów polskich czy sympatyków lewicy. Wyrosły one w poważnym stopniu z rzesz dalekich nieodłami i idei socjalizmu, z rzesz systematycznie ogłupianych londyńską propagandą, szczytów i judycznych przeciw Związkowi Radzieckiemu, żyjących w niezmierzonych trudnych warunkach uchodźców. Wielka musiała być siła oddziaływania nowego życia Kraju Rad, skoro przeżyli i przetrwali w niezmierzonych trudnych warunkach uchodźców, ślepa rozpacz i nieufność rozbitek, nawet ciężar zbrodni i przestępstw popełnionych w nie-rozumnej obronie starego ładu, spychających ludzi dalej, na coraz niebezpieczniejsze ścieżki.

Losy Jądwił Chorzyńskowej, deportowanej osadniczki z Białoru-

si i porucznika Zabielskiego, obciążonego zbrodnią „pacyfikacji”, wskazują, jak głęboką przemianę przejść mogli ludzie w czyszczenia życia ludzkiego. A obok tego mamy jeszcze inne postaci: Chłopcę pani Rojkowej, którym służyła w armii, pozwoliła zmyć grzyzacz osad powołania do hufie ludu i zrealizować napół dziecinne marzenia o bohaterstwie. Kieszonkowiec Antoni Chobot, który dostrzegł i dla siebie perspektywę ludzkiego losu. I wielu innych, którym lata pracy i nadzieja walki pozwoliły rozwinąć nieznane, nieprzeznaczone siły, dojrzeć i okrzepnąć, wrócić do kraju jako świadkami pionierzy jego nowego jutra.

Zawężał temat w porównaniu z Wasilewską Józef Hen. Bohater jego książki, biedniaki syn, Jan Krzemniak deklaracyjnie tylko wspomina swe przeżycia jako górnik-stachanowiec Donbasu, nie nie wiemy bliżej w jaki sposób ogłupiano go faszystowską nienawiścią do bolszewików głupekim zachwytem dla „amerykańskiego żołnierza”. Jednakże pisarz potrafił interesująco zarysować walkę o duszę tego przekornego i zadziernego, a pełnego wewnętrznej siły i prawości chłopca, którego wróg chciał przeciwstawić interesom jego klasy, interesom narodu. Dojrzenie Jana Krzemniaka poprzez naukę i dyskusję, poprzez doświadczenia losów wojny i stosunków na oswobodzonych ziemiach polskich, poprzez śmierć jego narzeczonej, zamordowanej w czasie akcji parcelacji dworów, czyni z niego gorącego bojownika rewolucji, świadomego nosiciela idei Ludowej Polski.

Zastrzeżenie nasuwa natomiast problem ukształtowania pozytywnego bohatera nowej książki Hamery. Autor oparł konstrukcję tej postaci również o problem ideowego przełomu dokonującego się pod wpływem doświadczeń walki z faszystami w szeregach I Armii, w świadomości człowieka zatrudnionego w propagandzie. Jednakże Dynkowicz, tak przynajmniej, jak rysuje go pierwsza część nieukończonych jeszcze książek, ma bardzo niewiele cech, które kreowały by go mogły na postać godną miana pozytywnego bohatera trudnego czasu walki. Nie ma w nim tej wewnętrznej godności i siły, która sprawa, że towarzysząc Szczesnemu-Bidzie Newerłego przez wszystkie błądy i manowce nie tracimy nigdy wiary w niego, ani pewnością, że wreszcie odnajdzie swoje miejsce wśród walczących, która okupuje wszelkie natężenie i nie-zręczność w rysunku postaci, bilskiego mimo wszystko czytelnikowi, Jana Krzemniaka. Dymkowiec jest inteligentem, ale inteligentem według kiepskich wzorów naszych niedobrych powieści — tzn. głupkiem i bukiem, różniącym się od przeciętnego robotnika głównie prymitywizmem umysłowym, po-ciągiem do głupiej poży i brakiem cywilnej odwagi. W ten sposób Dynkowicz jako inteligent nie wnosi do powieści żadnej interesującej problematyki intelektualnej wariantu przełomu ideowego, co mogłoby usprawiedliwić kreację

bohatera tego typu, a raczej raz czytelnika swą płytkością i miar-kością. Hamera w tej postaci za-tracił wiele cennych i ujmujących rysów swej sztuki pisarskiej, które pozwoliły mu stworzyć Plewę, dać ciekawą i ambitną, a w wielu partiach istotnie odkrywczą analizę dojrzewania produkującego pracownika socjalistycznego przemysłu. Właśnie zubożenie postaci „inteli-genta” o wnioski i refleksje, nasu-wane przez obserwację jednego z dziełach świata przykładu socjali-stycznego społeczeństwa, o cały ła-dunek przemysłu, duchowej roz-terki między wielkością rzeczy nowych a bagażem tradycyjnych sądów, zaważył w bardzo istotny sposób na spłyceciu postaci boha-tera. Nie najlepiej odbił się też na bogactwie problemów wniesio-nych przez postać głównego boha-tera fakt, że w całym pierwszym tomie nie została z jego osobą związana sprawa braterstwa broni Polski i Związku Radzieckiego, co dla ogólnego przełomu ideowe-go było sprawą kluczową, gdyż na-cjonalistyczne urazy antyradzieckie odgrywały główną rolę w świadomości przeciętnego inteli-genta. Mamy w powieści parę scen, wiążących się z tym proble-mem, lecz nie dotyczą one bezpo-srednio Dynkowicza.

Nie popełnił natomiast tego błę-du Józef Hen. To właśnie kapitan Kniatjew, radziecki instruktor, bezpośredni zwierzchnik Krzem-niaka w szkole podoficerskiej sta-je się, obok polskiego oficera Ba-dury, wychowawcą bohatera, nie tylko zaś świetnym nauczycielem sztuki wojskowej. A i Krzemniak, żołnierz z 39 roku, dobrze rozu-mie, skąd wzięły się w tym wojsku, niewiedzące, niepojęte dla niego początkowo stosunki między żołnierzem a oficerem. Skąd to kapitan ma czas troszczyć się by pólalfabeta poszedł do szkoły oficerskiej, skąd to głównym jego obowiązkiem jest baczenie, by nie zmarłował żadnych zdolności, tkwiących w masie żołnierskiej, by żadnego człowieka nie zostawił bez pomocy i przyjacielskiej opieki. Duch Czerwonej Armii, jedyną na świecie armii ludzi wolnych i zbratających wolą obrony człowieka, ukształtował moralność, produkują-cy oficerów I-szej Armii, wskazał idealizację socjalizmu, który przyswierał i ich pracy wychowawczej.

Najpełniej jednak piękno i wy-chowawczą wartość żołnierskiego braterstwa broni pokazała powieść „Rzeki płońa”. Wasilewska wskaza-ła, że źródła jego tkwią najgłę-biej w samej istocie Państwa Ra-dzieckiego, bastionu wyzwolenia ludzkości, w samej istocie Czerwo-niej Armii — armii oswobodzicielki. „Tu nie prowadzi buchalterii, wktó-rej cyframi są ludzkie istnienia, prze-tłumaczone na mowę brzęczących, złotych monet i ludzkie łyż, prze-rachowane na szeszelczące bankno-ty walut” — mówi pisarka o Związku Radzieckim. Inaczej jest w kraju imperializmu, zarabiają-cym zawsze najlepiej na cudzej słabości. „Za każdą bombę zrzuconą z polskiego samolotu płaci się Ang-lij polskim złotem. Każdą samolot polski który broni Londynu, jest spleciony polskim złotem...”

Braterstwo broni polskiego i ra-dzieckiego żołnierza uzyskało w powieści Wandy Wasilewskiej peł-ną perspektywę wielkiej sprawy historycznej, wielkiego zwrotu w historii obu narodów, który wska-zuje na drogę po której potoczą się losy międzyludzkiego brater-stwa. Braterstwo to obejmowało wczoraj tych najlepszych świado-myh rewolucjonistów, dziś już wszystkich narody ziemi, walczące o wyzwolenie widząc w czerwonej gwiazdce Kremla drogowskazy i broń. „Ta wojna toczy się nie o dzisiejszy dzień i nie o dzień ju-trzej — mówi Wasilewska. — Ta wojna toczy się o wiek. O zmienię granic krajów, o zmie-nione lożysko historii, o nowy dzieł nie tylko dla Związku Ra-dzieckiego. Historia musi iść na-przód — wielkimi krokami, histo-ria idzie naprzód. Muszą naprawdę wolna, nie skutą pierśią odcchnąć narody. Musi się na polach walk zrodzić tegie, niezawodne brater-stwo, z wojny, najstraszliwej niesprawiedliwości musi wyjść o-myta krew sprawiedliwość...”

Wielką prawdę nowej historii umiała Wasilewska pokazać w dziełach swych ludzi, w losach każdego z bohaterów, kroczących drogami wielkiej ofensywy ku wy-zwoleniu własnego kraju. Prawde tego braterstwa przeżywa Zabielski, ono przywraca mu możność zmycia win szowinistycznego na-cjonalizmu, oho oczyszcza miłość ojczyzny, pozwala objąć kraj nie tylko własnym sercem, ale i pe-wną myślą o przyszłości. Stefek odnajduje w radzieckim kapitanie Skrowcowie najpiękniejszy wzór żołnierskiej służby, a miłość Soni Kalcukówny i jej przedśmiertna wiara w zwycięstwo, stają się źró-dłem jego siły jako bojownika o nowy lepszy, świat sprawiedliwo-ści i przyjaźni, dla którego zginę-ła białoruska dziewczyna. I Mar-cyś odnajduje w rękawie płasz-cza karteczkę pisaną przez ra-dziecką robotnicę: „Żołnierzu polskiemu, dla którego żyję ten płaszcz, żyję szczęście, żyję zdro-wia i życie, żeby dzielni bił wro-ga i szczęśliwie doszedł do ojczy-zny”, — czuje się silniejszy o przy-jazń milionów ludzi radzieckich, o dumną świadomość że jest obrońcą także i tej, serdecznej ziemi.

Piękny heroiczny temat zaczął-ków polsko — radzieckiego brater-stwa broni w dalszym ciągu czeka na pisarza: gdzie woda o-drodzonego wojska polskiego, bo-hatera Stalingradu — Marszałka Rokossowskiego, tego żywego sym-bolu polsko — radzieckiego brater-stwa broni.

Maria Kowalska

*) Wanda Wasilewska, „Rzeki płońa”, Wydawnictwo MON, War-szawa 1952; Józef Hen, „Druga li-nia” Wydawnictwo MON, War-szawa 1952; Bogdan Hamera, „Śladami czołgów”, tom I, Wydaw-nictwo MON, Warszawa 1952.

W MOICH RODZINNYCH OSTROŻANACH

(dokończenie ze str. 1)

sie po ludziach... Oto Kazimierz Kadej. Ma 36 lat, dzieci dwoje (12 i 6 lat), gospodarstwo — 5 ha. Obrotny chłop. Konia po wojnie dorobił się szybko. Może dlatego zarzykować wziąć jeszcze 3 ha po Wronie, który w 47 roku wyjechał na ziemię zachodnie. Nowy nabytek figuruje nadal jako oddzielne gospodarstwo, stał mniejsze — podatek i świadczenia. Dla Kadeja był to nowy szczebel. Rozwiniął gospodarstwo. W tym roku pod buraki cukrowe zakon-traktował cały hektar, lnu i rzepaku po 15 arów. Po zakupy potrafi jechać do samej Warszawy. Energia? Tak. Dorabianie się? Tak. Pracowitość? Planowa i staranna. W życiu społecznym Kadej przesuwa ko-łu ZSCh. Dobrze nawet pilnuje filii GS-u i podciąga wieś w kontraktacji.

Nikiel Jan. Rzekibym — chciwy do-robkiewicz. Zdarzy się, że idąc podkośi cu-dzej trawy „Oja mójgo bowiem nie stawiam na rzedzie aktywistów, raczej daleko w tyle. A dlaczego? Bo wiem, że ostatecznie, siasia-dom przypisuje cofanie się „wstecz, ku daw-nemu”, kiedy nie lepszy od nich, nie inny? Zatem pomylił się. To, co w nim wzbiera, co wlewa w niego jakby powrotną młodość i pcha do decyzji na całe przyszłe życie — wzbierać musi również w jego siasia-dach. Tak pomyślałem o Kadeju obrotnym, o Nikielku skąpm, o Leonczuku, zaka-powanym w gnoju...”

Co to znaczy, że Bolesław Bierut został Prezesem Rady Ministrów nowego rządu, nie od razu zrozumiano w Ostrożanach. Na-dzieję na to, że nie jest już Prezydentem. Bo nie łatwo osławiano się za strata tego ty-tulu. Był dla nich synonimem: głowy pań-stwa, gospodarza kraju, wielkiego nauczy-ciela. Toteż przez niedzięle w rozmowach gó-re jeszcze brały rozprawy o przynależności do przynależności. Skrupulatnie gromadono wszystkie pochwały wygłoszone na Sejmie o... Prezydencie.

„To On stał na czele Państwa, kiedy władza ludowa oddawała chłopom ziemię obszarczą...”

W tym punkcie zadziwił wszystkich sta-ry Nikiel, wyrachowany i oszczędny aż do skąpstwa. Ten milczek odczytał wcale płynnie „władza ludowa dała chłopom 6 milionów ha ziemi. Zdjęła z mas chłop-skich ciężar długów, wynoszący przed woj-ną 1 miliard 200 milionów zł...”; od siebie dodał — to on, to on...

„Pod jego kierownictwem rozgromiliśmy faszystowskie bandy zbrojne oraz mikołaj-czykowskie, WRN-owskie i gomulkowski-e agenty imperializmu...”

Przypomnieli się chłopom nie tylko mo-gili bohaterskiej kadry partyjnych. Przypomnieli okres rozpędu rewolucyjnego, kie-dy to przed dzieleniem ziemi pytali się o spółdzielnię. Jeszcze był nie czas.

— A teraz obrośliście w pierze, każdy, aby utuczyć się jak gęś — przemówił cho-pom 82-letni Bączewski. — Myślicie, że nie wiem daleczagocie chętni na buraki? O produkcie wam idzie? O cukier na sprze-daż! A len daleczagocie? Bo dają lok-cioćki i teksty. Jak Leonczuk, co tonie w gnoju, tyle widzi przed sobą.

Taki był początek obrachunków ostró-żańskich ostatnich lat.

Wyłuskali wreszcie i treść słów: Bo-le-sław Bierut „stał u steru nawy państwo-wej”.

Acha, to rząd Frontu Narodowego, więc na czele rządu Przewodniczący Frontu i Program też Frontu, tzn. że nie będziemy przelewać z próżnego w pustę, ale organi-zować gospodarkę potęgi i rozkwitu Ojczy-zny.

„Od czego zależy tempo naszych osią-gnięć w tym kierunku? — czytali po kilka razy słowa. — Zależy ono od czynnego po-parcia przez cały naród wysiłków Rządu, zmierzających do uruchomienia wielkich rezerw, tkwiących w naszej gospodarce, w naszym życiu...”

Zrozumieli, że są wezwani. „Wzmaga się coraz bardziej świadomy i czynny udział najszerszych mas w rządzeniu swoim Pań-stwem. Państwem ludu pracującego”. To zdanie, to jeszcze nie o nich. Wydało im się, jakby przez nich płynęły fale choroby ku nim bliżej. Fale tych, już uruchomionych przez Niego sił. Oto szkoła stała się 7-mio

klasową. Kilku nauczycieli pracuje nie ty-lo z dziećmi i młodzieżą. Również ich, by-tych farnali, zakopanych w gospodarstwach, wyciąga ku światłu. Oto powiat stał się bliższy. Oto PKS wiezie przez lasy do Dro-hiczyna i Siemiatycz. Oto poczta w Ostro-żanach, oto tutaj siedziba nowej wyodrę-bnionej gminy. Powstanie wkrótce GS. Oto młocarnie z Ostrożki młocą już ze stogów a żniwarki przyspieszają żniwa. Oto, od-kąd Komitet Powiatowy jest bliżej, zacie-ły się kursy dla partyjnych. W przeydium GRN-u zasłuzęli ludzie okolicy. Sawieki, (przewodniczący ze Stadnik, sławny ho-dowca nierogacizny, radni, Derewońko ze Stadnik, przodujący pszczelarz. Barszczew-ski z Kłyżówki, mistrz w hodowli bydła. Nawet w Radzie tutaj urzędującej idą Os-tróżanom w pomoc działacze z innych wsi.

A Bierut do czynnego poparcia wzywa przeciw wszystkim, wzywa też Ostrożany.

I jak wzywa. W którąś się nie obejrzał stronę za lasów widać jakby lunę i dymy, znak, że przemysł wdziera się w białostoc-kie ostępy, że robotnicy krocą, aby umoc-nić sołusz i spójnie. Popatr na północ — w Bielsku rosną potężne zakłady rozszar-niane, przedziałnia lnu i olejarnia. W Zam-browie buduje się kombinat włókienniczy, jedna to z najważniejszych inwestycji Planu 6-letniego. Tu właśnie osiadło wielu chłopców, wypędzonych w latach kryzysu z białostockich fabryk. Zamienili się w cha-lupników, poprzeczali się na „wiejskie” rzemiosła: ciesielstwo, stolarkę, kolodziej-stwo (słynne zambrowskie wozy). Dziś wracają do dumnego zawodu, dziś tworzą ka-dre kombinatu. Popatr na wschód — w Siemiatyczach powstaje fabryka sklejek, buduje się cegielnia. Popatr na zachód — w Ciechanowcu ośrodek tkactwa ludowego w spółdzielni CPLIA. Popatr na połud-nie — w Mielniku eksploatacja złóż glinki a nad Bugiem ukończono już prace geolo-giczne, zaczyna się użarżmianie rzeki. Do pierwszych robót z Kłyżówki wzywają już 15 ludzi, z Narojk — 40, z Ostrożan — 15.

Tak to się ukazuje Ostrożanom Bolesław Bierut, kiedy bezpośrednio ujmuje ster rzą-dów.

Ten, co steruje dziś wielkim dziełem bu-downictwa ustroju socjalistycznego w na-szym kraju jest wszędzie, jest w Ostroża-nach.

Stanisław Kisielecki

Foto J. K. Maciejewski



KRYSTYNA PAŁYS

JAK WYCHOWUJE POMOC

K OŁOWIEK wybierać się będzie na budowę Lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych im. Bolesława Bieruta, powinien skorzystać z życiowej rady: Niech wstąpi do sklepu i kupi sobie gumowe buty, a potem uda się do Lubelskiego Przemysłowego Zjednoczenia Budownictwa i odszuka towarzysza Pajka. Jeśli zlekceważy tę zbawiającą radę — zginie w gmatwaninie rusztowań, murów i wykopów, ugrzęźnie w pierwszemu lepszym bajorze (od dwóch miesięcy nie zamylały się przecież niebieskie upusty i obficie rzączyły nas deszczem). A gdyby nawet potrafił odbrnąć wszystkie kałuże i pagóry rozmokłego, lubelskiego lessu, nie dopyta się drogi, nie znajdzie ludzi, o których mu chodzi. Innymi słowy — będzie szukał wiatru w stuhektarowym polu, gdyż tyle zajmie obszar fabryki.

Już rok upłynął, jak ujrzałam tu radziecką koparkę, ze szczytu rusztowań cieleśkich, stawianych na przyszłej hali produkcji narzędzi przez brygadę spod Kozienic — Owczarka. Koparka przypominała z daleka wielkiego zuka, grzebiącego się w ziemi. Za każdym razem, gdy z łyżki spadał półtonowy ładunek na wydłużający się nasyp, warkocz szarego kurzu przysłaniał maszynę i pracujących obok ludzi. Dziś nad nasypem ciągnie się za lokomotywą warkocz czarnego dymu. Pociąg wadiowy (a właściwie dwa pociągi, z których jeden wiezie materiały a drugi w tym czasie ładuje się) kursuje bez przerwy i musi przewieźć dziennie 70 wagonów żwiru z górskich rzek w Rzeszowskiem, żeby nakarmić same betoniarke. Przywozi również całe lasy ściętych pni, miliony worków cementu, cegieł i tysiące ton żelaza.

Rok temu, po lewej stronie zarysowała się dopiero rusztowaniami hala produkcji narzędzi. Teraz kopulaste, albo ustawione pod ostrym kątem dachy kryją dziesiątę naw. Z profilu przypominają żęby olbrzymiej pily.

Szukam oczyma małej budki drewnianej Edwarda Olejniczaka, w której zastaliśmy go zeszłej jesieni. Nie było jej wtedy widać wśród zwalów cegieł i prefabrykatów. Olejniczak, dawniej murarz lubelski, a potem kierownik budowy hali z awansu, ulokował się tuż pod ścianami hali. Krzątał nad nią jak jastrząb dźwig 30-metrowej wysokości i porwał od czasu do czasu niby drażni 3-tonowe sedy, żeby złożyć je ostrożnie na gzymsach żelbetowej kolumnady.

Jakżeż mi iść do szkoły wieczorowej, kiedy hala ma być gotowa za kilka tygodni — tłumaczył nam. Przecież budowa to najlepsza szkoła. Teraz hala stoi wykończona, a Olejniczak siedzi we wrocławskim Technikum nad planami. Zaczynał tu jako murarz a wrócił dookończony budowy fabryki jako technik-specjalista.

Lista przodowników pracy roztacza się na FSC szybko jak budowa. Przed rokiem wzrok nasz opierał się tylko na trzech punktach — hali montażu, produkcji narzędzi i obróbki drzewa. Teraz zorientować się trudno. Przed nami leżą żelbetonowe kolumny, splecionych rusztowa-

niami cieleśkimi. Jeździ pomiędzy nimi na szynach nowy dźwig. Ramię maszyny sterzy jak długa szyja żyrafa, która chwyta w żęby od czasu do czasu zbiornik z masą betonową i dźwiga na miejsce, gdzie gromada ludzi majstruje przy szalunkach. Otwiera się kłapa i stalowa żyrafa wypływa ładunek.

Hala Metz (inaczej śrub i normalni) nazywa się ten nowy kołos. Obsady go w ostatnich miesiącach trochę mniejsze budowle: akumulatornia, magazyny, hala mechaniczna, a daleko przed torami mającą wykopy największej w Europie odlewni. Wszystkie te budynki można znaleźć w planach przygotowanych na rok 1952, ale miejsce, gdzie pnia się mury kotłowni, jest na nich puste. Rozpocząć tę budowę kazala załozde potrzebna. Prowizoryczna kotłownia była dobra, kiedy produkowała tylko hala montażu. Po uruchomieniu narzędziowni i hali obróbki drzewa, poczęła zawodzić. Jedyne wyjście — budować ponad plan, czyli przed terminem. Sprawa wyloniła się już w tym czasie, gdy podejmowano zobowiązania na cześć XIX Zjazdu WKP(b). Wówczas pojawił się na widowni Józef Galar, którego nazwisko nie było dla wielu obce. Wespole murarskim Trycha kładł przecież 105 cegieł na minutę. Wyczyn poszedł jednak szybko w zapomnienie.

Kłopotliwa bądź co bądź sprawę kotłowni omawiano na wrzesniowej naradzie produkcyjnej. Budowę trzeba było zaczynać — jak to się mówi — na gwałt i to zaraz po wielkim wysiłku załogi, w którym wyrównano załozosci z sierpnia. Wstał wtedy młody chłopak z zespołu Trycha i oświadcza, że podejmuje się ze swoją brygadą wyciągnąć mury kotłowni w stanie surowym do 27 października skracając czas robót o 10 dni.

Przyjeżdź do pracy zaraz następnego dnia. Miał jednak pecha. Dotychczasowy kierownik tej budowy poszedł w tym czasie na urlop, a jego miejsce zajął biurokrata. Chłopcy nie zastali na miejscu cegły, ani żelaza, nie było desek. Kreślił się po placu, próbowali się dowiedzieć, kiedy otrzymają materiały, ale nikt nie dawał jasnej odpowiedzi. Galar udał się do kierownika. Jeszcze dziś na wspomnienie owej rozmowy podskakuje na ławce, jak by go ugrzył jadłowity pajak.

To był biurokrata, którego żądania siła nie ruszyła z biurka. Tłumaczył mu jak stoi sprawa, że ludzie marzną czas, a ten mól biuro- wy pyta, gdzie jest kotłownia. O materiałach nie chciał nawet mówić ze mną. Kazał pisać papierki. Myślałem już że licho porwie moje zobowiązanie. Trafiliem jeszcze do sekretarza organizacji podstawowej i przewodniczącego rady zakładowej, a gdy oni nie pomogli — do samego inżyniera Ozarki. Wezwał on kierownika.

Czy byliście na budowie kotłowni? — pyta. Ten mu na to że w planach budowy kotłowni nie ma.

A postanowienie na naradzie produkcyjnej słyszeliście? W tym miejscu wielki flegmatyk, inżynier Ozarko podniósł nawet trochę głos. Biurokrata milczał a inżynier znów spo-

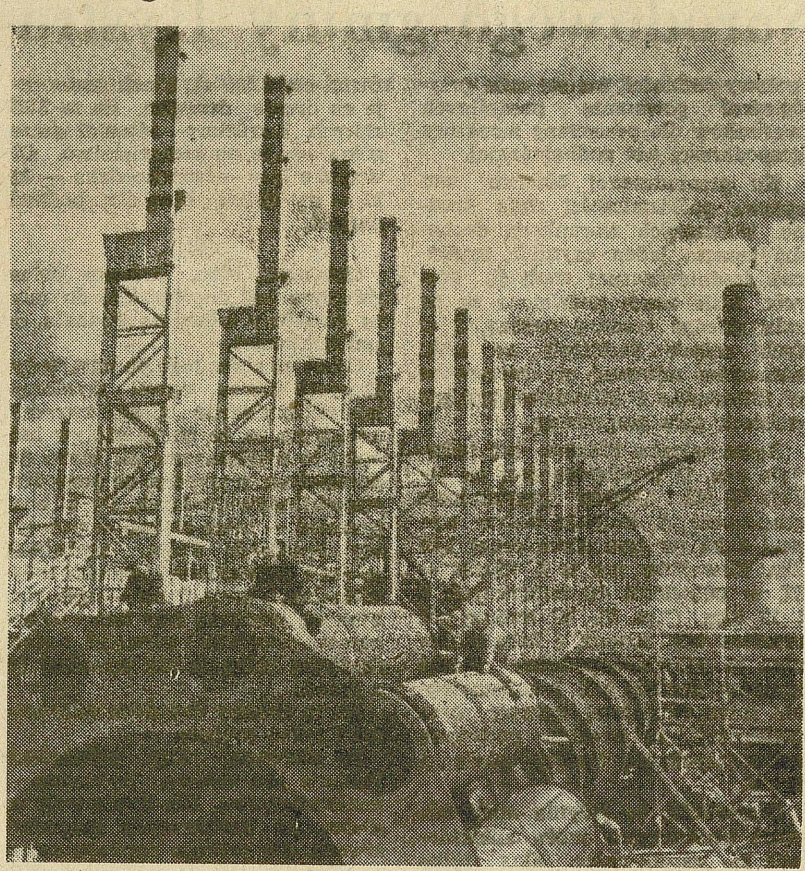


Foto — CAF

kojnie, ale każdy wiedział, że w nim kłapało. — Jakże materiały dostarczono brygadzie na plac robót? Kierownik nie znalazł odpowiedzi.

Materiały znalazły się, dokumentacja stropów też, za to za biurkiem zabrakło kierownika Mroza. Ale co? Upłynęło kilka dni w bezczynności. Teraz Józef Galar ciągnie w pośpiechu z chłopcami mury. Musi wyrównać stratę czasu.

Wypadek niewielkiego znaczenia, ale bardzo charakterystyczny. Kto walczył o wykonanie zobowiązania? Józef Galar, który niedawno siedział w góralskiej chałupie pod Nowym Sączem i nie wiedział co z sobą zrobić. Cztery morgi w kilkunastu kawałkach na stokach górskich, porośnięte rzadziutkim, dojrzewającym dopiero we wrześniu owsem, nie mogły stanowić oparcia dla siedmiorga dzieci. W końcu rodzice zdobyli się na wysłanie najstarszego do szkoły rzemieślniczej w Bochni pod Krakowem. Po roku szkole zamknięto i chłopca przydzielono do podobnego zakładu w Lublinie. Ten zbieg okoliczności zdecydował o życiu Józka. Kończy naukę, ale nie wraca w górę. Wielka budowa na drugim końcu miasta czekała na takich jak on. Zgodził się na murarza.

Po 15 miesiącach z absolwenta szkoły rzemieślniczej wyrasta rekordzista i uparty realizator podjętego zobowiązania.

Józka Galare wysunęła organizacja ZMP-owska jako kandydata do Partii. I słusznie. Tego spokojnego chłopca o jasnej czuprynie i clementnych, krzaczastych brwiach cechuje rzadka w tak młodym wieku rozważa i rozsądek.

Okrągła twarz jak granatowy bezn na głowie, zielonkawy kombinizon przepasany rzemieniem w pasie

i ciekawe, czarne oczy — po prostu dzieciak ten Rzeżutko. Z wyglądu można dać mu najwyżej siedemnastkę a chwali się że w rzeczywistości ukończył osiemnastkę lat. Urodził się w Zabuzu i zaczął naukę w krasnostawskim Liceum Technicznym. Musiał przerwać, bo „rodzicom nie starczało”. Przyjechali potem do Zabuzu robotnicy werbowali ludzi na budowę FSC. Zgłosił się, ponieważ nie miał nic do stracenia. Nie stracił ale zyskał. A co? Wstąpił go w Lublinie zaraz na kurs zbrojarski, potem pracował przez trzy miesiące na budowie. To niby dziecko wykazało zdolności organizacyjne, potrafiło zebrać kilkunastu kolegów i utworzyć brygadę zbrojarską.

Na codzień wyrabiamy po 170 do 200 proc normy, ale przed wyborami do Sejmu nigdy nie mieliśmy mniej jak 300 procent — opowiada mi, gdy stojemy na pustakach, powiązanych mocno żelaznymi prętami w strop. Brygada Rzeżutki zbroi mury żłobka fabrycznego. Widać z góry zbrojarkę, który w stożkowatym, otwartym od góry szalowaniu układa żelazną kratę. Zaleją ją później betoniarze szarą masą, stygnącą w kamień.

Za wykopem stoi kilkupiętrowy gmach. Wyłokierowane ramy okienne na górze, wielkie tafle szkła, sięgające od sufitów do podłóg na parterze, ciemne o ładnej linii drzwi wejściowe. Przed nimi wydłubują z samochodu jakieś tańczone, stoliki, żardinierki, klubowe fotele. Ktoś wykrzykuje: Ostrożnie! Nie zabłoć!

Nowoczesny blok musi być zamieszkały, zdradzają to, kolorowe nalepki na szwach z czasów wyborów. Budynek przypomina trochę blok z MDM-u w Warszawie. Brak mu tylko jeszcze jasnego tynku.

(dokończenie na str. 6)

JAN ROTH

Sartre i sztandary demokratyczne

J EAN-Paul Sartre znany jest jako twórca kierunku w literaturze zwanego egzystencjalizmem. Nie będzie mi tu jednak analizować tego prądu literackiego. Wystarczy nam stwierdzenie, że Sartre stał zawsze na pozycjach krancowo przeciwnych komunizmowi, że wydał antymarksistowską książkę „Materializm a rewolucja”, wystawił antykomunistyczną sztukę „Les mains sales” i jeszcze niedawno ustawał stworzyć „lewicowy” ośrodek polityczny bez komunistów, RDR, „Rassemblement Démocratique Révolutionnaire”. (Demokratyczne Zjednoczenie Rewolucyjne). Sartre założył w 1945 i po dziś dzień prowadzi miesięcznik egzystencjalistyczny „Les Temps Modernes”, „Współczesność”. Na łamach tego pisma ogłosił niedawno dwa niezwykle znamienne artykuły: „Komuniści, a pokój” oraz „Odpowiedź Albertowi Camus”. I o to właśnie chodzi. Omawia je szeroko w ostatnim numerze „Nouvelle Critique” Jean Kanapa. Uwagi te pragniemy powtórzyć w krótkości łącznie z najważniejszymi cytatami artykułów Sartre'a. Dodajmy, że pierwsza wypowiedź słynnego pisarza spotkała się z gwałtowną i pełną wymysłów reakcją François Mauriac i szeregu pomniejszych dworaków faszyzmu, drugi okrzyk znowu milczenia. Nie dziwny jest. Sartre powiedział nie szereg prawd, które tym są dokiłtusz, że bezapelacyjnie prawdziwe, tym bardziej bolesne, że po ich własnej stronie mówione.

Punktem wyjścia rozważań Sartre'a są powiązania francuskiej klasy robotniczej i Komunistycznej Partii Francji. Otóż „Partia jest w chwili obecnej jedynym do pomyślenia reprezentantem wyborców robotniczych”. Przeciwnicy z „lewicy”, podobnie jak prawnicy „w zastrzeżeniu” skania Partii komunistycznej zatracili zdolność widzenia; i oplakują tak często, że Partia „posiadła monopol obrony swiata pracy”, że w końcu wierzyli, iż przywilej ten był zrzędzeniem losu. Jest to, powiada, partia historyków, morderców i kłamców... Trzeba więc przyjąć, że proletariatu w całości jest zbrodniczy, kłamliwy i historyczny. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć, że jest w całości komunistyczny? Dla tych ludzi elekro robotnik podnosi głowę — mówi Sartre — dzieje się tak dlatego, że popycha go jakiś „stalinowiec”, ów „żyty duch”, wielki kłamać dziś „ruski”, wczoraj szwab, siewca angielskiego złota w 1789, a złota rosyjskiego już w 1840... Niezależnie od tego, że to on rzucił pospólstwo do szturmu na Bastylie, on finansował wypadki czerwcowe 1848, niezłomnie straszył ze schyłku stulecia, rozruch 1917”.

...historycznie ZSRR jest szmasz proletariatu, wzorem i źródłem siły penetracji rewolucyjnej. Oprócz tego Związek Rad jest sam w sobie wartościowy o historycznym znaczeniu, pierwszym państwem, które zawiera przesłanki socjalizmu (formuła dobra w 1917, dziś spóźniona o 35 lat). Dla tych dwóch względów rewolucjonista żyjący w naszej epoce i którego zadaniem jest przygotowanie Rewolucji środkami istniejącymi i w danej sytuacji historycznej, bez nurzania się w nadziejach apokaliptycznych które tylko odwoływałyby go do działania, musi wiazać nierozdzielnie sprawę ZSRR ze sprawą proletariatu”.

28 maja br. francuski ruch pofoksojczy organizował wielką manifestację przeciw Ridgwayowi. Pamiętamy ciąg dalszy: aresztowanie Stila i Duclos, dzikie wypadki antagonyzmu wszelkiej maści — „Ręka Moskwy! Przygotowanie do wojny! Moskwa i komunizm chcą wojny!”

„Jak mogłem o tym nie pomyśleć! — woła Sartre. — Partia komunistyczna i Obróńcy Pokoju wzywają ludność Paryża do manifestowania przeciw wojnie: dowód oślepiający, że ZSRR chce nas zaatakować... Ale wy, wy którzy gracie oburzonych, co wy czynicie? Czy nie utrzymujecie przypadek, że i wy pragniecie pokoju? Proszę jednak szukać waszych galezek oliwnych, znajdując tylko bomby. Gdy raz po raz „odstraszacie agresję”, w Grecji, w Berlinie, na Korei i w samym Paryżu ludzie każdego dnia umierają i to jest wasz pokój: pokój strachu. Gdyby ZSRR poddał się tak jak wy strachowi, wasz pokój byłby już wojną. Albowiem ZSRR chce pokoju i daje tego dowody każdego dnia... Utrzymujecie, że przywódcy radzieccy to potwory, gotowe każdej chwili rozpętać wojnę. Dlaczego więc nie atakują? Dlaczego nie atakują gdy ich armiom wystarczy tydzień dla zajęcia Europy?... A może po prostu pragną pokoju?”

Nigdy — podkreśla Sartre — nigdy ZSRR nie uczynił najmniejszego gestu, który mógłby wywołać wojnę. Przy najskrajniejszych poszukiwaniach nie znajdujemy przesłanek tych trzech dziesięcioleci śladu woli agresji u Rosjan”.

A robotnik francuski miałby bić się przeciw krajowi, który „pra-

gnie pokoju i co dzień tego dowodzi”? „Trzeba, by szanowni panowie to sobie wyperswadowali: proletariatu nie ma żadnego powodu, by się bić. Ale owszem — mówicie — o wyzwolenie nieszczęsnego proletariatu rosyjskiego. Tak. Otóż mam wrażenie, że wasza propaganda ma jeszcze spore braki; i nie sądzę, by wam się udało wiele zrekrutować, jeśli będziecie żądać, by podjęli krucjatę antybol-szewicką Hitlera, by stanęli po stronie Ciang Kai-szeka przeciw Chińczykom Mao Tse-tunga, po stronie Franco, przeciw republikanom hiszpańskim, po stronie Li Syn-mana przeciw całemu narodowi Korei, u boku morderców Bello-janisa przeciw ojcom i braciom deportowanych na Makronissos, u boku oligarchii kolonizatorów przeciw Tunetańczykom, Malgaszom i Wietnamczykom... Trudno uzasadnić potrzebę umierania za Stany Zjednoczone...”

Sartre wskazuje na gwałt zadany demokracji: „w ramach instytucji demokratycznych najzupełniej legalnie uchwalono antydemokratyczne ustawy... I z dwóch robotników portowych kręcących się po przystani w Hawrze jeden nie ma prawa głosu, drugi nie ma na co głosować... „Ciągłość” naszej polityki to ciągłość lokajstwa. Jesteśmy nieugięci tylko wobec Malgaszów i Tunetańczyków. Sprzedano nas? O, nie — gorzej! Amerykanie mają nas za darmo. Jeśli ów doker przypominaj sobie zdanie Lenina o krzyżaczach sprzeczności międzyformalną równością w państwie burżuazyjnym, a tysiącem ograniczeń i podstępów, czyniących z proletariatu płatnych niewolników — i jeśli sobie powie: „Lenin ma jeszcze raz rację” — czyżby to będzie wina, o wielka rodzino Petschobu, Bidaultów, Lussich, Pinayów i reszty? A pewnego dnia i doker i jego towarzysze będą mieli dosyć... Oburzacie się, a rzeczywistość, tak się za tym oburzeniem kryje, to walka klas. Jeżeli ją rozumiecie, jak możecie zarzucać Partii komunistycznej gwałtowność, poczynając wszelki gwałt, gdy pochodzi od proletariatu, jest tylko odpłacaniem moneta, jaką my go darzyliśmy... Jeśli proletariatu musi uciekać się do przemocy, ta przemoc jest pozytywnym humanizmem, wystąpieniem dla przełamania stanu ucisku...”

Camus zaatakował Sartre'a, że nie popiera jego oszczerstw o „sowieckich obozach pracy”. Sartre mówi: „Upatrzyliśmy najpierw nas wlasny dom: Vietnam, Madagaskar, a także straszliwy wysiłek robotnika francuskiego... Myślę, że jedynym sposobem przycięcia z pomocą niewolnikom obcym, jest sięgnąć po stronie niewolników tutejszych... Nasza wolność jest dziś tylko swobodą wyboru walki o wyzwolenie... Aby zaszły sobie prawo wpływania na ludzi, którzy walczą, trzeba najpierw wziąć udział w ich walce...”

Wiele rzeczy — mówi Kanapa — dzieli mnie od Sartre'a. Jego interpretacja rzeczywistości daleka jest od marksizmu, jego pojęcia o polityce ZSRR i komunizmu, jego oświeślenie wydarzeń, pod wielu względami błędne i nie odpowiadające faktom i dokumentom. Ale łączą nas troska o zachowanie pokoju, poczucie wstydu w obliczu zależności Francji od Stanów Zjednoczonych, pragnienie położenia kresu nieludzkiej eksploatacji francuskiej klasy robotniczej i rozprawienia się z wysiłkiem ludów kolonialnych. Jego postawa jest postawą prawdziwie szlachetnego humanizmu.

I jeszcze jedno jest ważne. Sartre nie jest w swych poglądach odosobniony. Jego wypowiedzi są odbiciem całego ruchu, całego nurtu opinii. Składa się nań opór — już nie niepokój, lecz bunt — przeciw polityce Pinaya, polityce wojny, wysiłku i walsalizacji Francji, składa się szukanie dróg w przyszłość, szukanie innej polityki, innych perspektyw. Liczba myślicy tak rośnie, a Sartre jest nowym dowodem, że nie jest to obojętny zwrot stylistyczny. I właśnie wzrost tego ruchu czyni możliwym znalezienie rozwiązań i osiągnięcie celów.

Czas idzie naprzód.

Jan Roth

WŁADYSŁAW WÓJCİK

OŚWIATA I PRODUKCJA ROLNA

J AK to zwyczajnie bywa w krajach o ustroju kapitalistyczno-kolonialnym, sfery rządzące w Brazylii doszły do wniosku o kilkanaście lat za późno, że produkcja rolna w tym kraju została daleko w tyle poza rozbudową przemysłu i wzrostem proletariatu miejskiego. Dysproporcja ta przybrała rozmiary zastraszające i postawiła gospodarkę krajową nosem do ściany. Rząd federalny na gwałt rzucił obecnie hasła „batalii o produkcję rolną”, hasła, które trafiają w próżnię... Niby Nemezis mści się tutaj obecnie „prosperity” sztucznie wywołana przez drugą wojnę światową, ukazując w całej pełni krótkowzroczność polityki kapitalistycznej.

Wojna europejska ścignęła do miast brazylijskich setki tysięcy rodzin rolniczych, znechęconych nie tylko wyższymi zarobkami, ale i kulturalniejszymi warunkami egzystencji. Wyemigrowali w tym wypadku z osad leśnych element najbardziej przedsiębiorczy i najbardziej wartościowy, mianowicie ten, któremu uprzykrzyło się trwanie w analfabetyzmie i w zapomnieniu od świata, na jakie skazani są w tym kraju mieszkańcy prowincji. Przy warstwie rolnym pozostały raczej tylko niedoradcy. Ci, którzy przeżyli się do miast, zostali przynajmniej tyle, że ich dzieci mogły korzystać z czteroklasowych szkół publicznych. Nie zamierzam tu dowodzić, że szkolnictwo powszechne miejskie, w tym kraju stoi na wysokim poziomie, ani że odpowiada ono aspiracjom oświeconego proletariatu, zwłaszcza, iż zarówno szkoły średnie jak i wyższe są dla proletariatu niedostępne, jednakże sam fakt przeniesienia się osadników leśnych do miast uchronił ich potomstwo od analfabetyzmu.

Brazylia n. dziś dzień nie dysponuje programem nauczania dla szkół wiejskich i nie posiada dla

tych szkół kadr nauczycieli zawodowych. Istniejąca tu imitacja szkolnictwa ludowego odpowiada jedynie tylko potrzebom państwowym: kwalifikowania wyborców! Absolwent szkoły leśnej winien umieć nagryzmolić swoje nazwisko na podaniu o przyznanie mu tytułu wyborczego i te same gryzmoty z kolei postawić w rubryce księgi wyborczej w dniu głosowania. Na tym kończy się definitywnie jego edukacja. Nabazgrał swoje nazwisko, oddał głos na tego czy innego kandydata trustów i spełnił swój obowiązek uratowania od jakiegokolwiek niebezpieczeństwa „demokracji zachodniej”. Rolnicze masy wyborcze w Brazylii nigdy z reguły nie czytają gazet, nawet reakcyjnych, z tej prostej racji, że nie umieją czytać. Gazety spotyka się czasem na stole u sklepikarza, najczęściej zaś tylko u urzędnika lub nauczyciela, natomiast nauczycielki wiejskie stanowiące 99 proc. nauczycielstwa powszechnego gazet nie prenumerują wcale.

Ten „idealny” stan rzeczy w oświacie ludowej, będący niewzruszoną podporą systemu reakcyjnego, utrzymuje się niezmiennie od stu lat, bez względu na zmiany figur w ministeriach oświaty i nazw partii politycznych tworzących t.zw. większość parlamentarną.

W ostatnich czasach ktoś wyrwał się w kongresie federalnym z wnioskiem, że warto byłoby zwrócić uwagę na oświecenie warstwy rolniczej, gdyż w obecnym stanie rzeczy projekty oświecenia produkcji rolnej natrafiają na poważną przeszkodę w postaci nieświadomości rolnika brazylijskiego. Napomknął o tym również sam prezydent Vargas, ale został natychmiast zakrzyczany przez adwokatów trustowych. Prasa będąca na utrzymaniu Nelsona Rockefellera podniosła alarm.

— Niech Bóg zachowa! — Oświecić masy kabokierskie to znaczy utrudniać drogę propagandzie komunistycznej. Wzmocnienie produkcji rolnej, owszem, należy do starczych wielkim obszarem, fazendom, traktorów, maszyn rolniczych z USA, rozległych kredytów, niech produkują, niech się dorabiają!

Stan ciemnoty i dezorganizacji w masach drobno-rolniczych reprezentuje warunek tak niezbędny dla egzystencji dotychczasowych partii rządzących w Brazylii, że sama wzianka o wjeściu w ramy organizacji zawodowej robotników rolnych, jaka wysnęła się prez Vargasowi w jego mowie wrzesniowej, wywołała burzę w kongresie i kryzys gabinetowy. Aby to oświecić, trzeba widzieć wybory w lasach brazylijskich. Te, które widzieliśmy w 1950 r. ani na jotę nie różniły się od propagandy urządzanej przez cyrkli wędrownie w miasteczkach prowincjonalnych. Jest to, naawiem mówią system wyborczy „made in USA”, gdyż od pewnego czasu merytoryka polityki tutejszej wynajmują za drogie pieniądze speców amerykańskich, aby im opracowywali plany kampanii wyborczych na wzór „Wielkiej Demokracji”.

Mniej więcej na dwa tygodnie przed terminem wyborów, zaczynają po drogach leśnych kursować ciężarówki oblepione skandalicznie wielkościami afizami i kolorowymi portretami kandydatów. Na niektórych ustawiono megafony, których ryki rozdzierają bębni w uszach, na innych siedzą „gajeros” i przygrywają na regencyjnych harmoniach. Wynajęta specjalnie banda notorycznych próżniaków (czekali cztery lata na to zajęcie!) wyprzaskuje na przemiany nazwiska kandydatów... „Głosujcie tylko na doktora Vidala! Najmilszy człowiek na świecie! Viva... niech żyje dr Vidala!”

LIST Z BRAZYLII

Na drugi dzień pędzi tą samą drogą inna ciężarówka. Ryk syreny lub megafonu wywabia z krzaków wynędzniałe, obdarłe postacie.

„Viva, niech żyje dr Lopes! Głosujcie tylko na doktora Lopesa (każdy magister lub konceptist tytułowany jest doktorem). Propagandyści dla uciechy gapiów wyznaczają flegę na ciężarówce, stroją matpie miny, harmonista wygrywa „samba” albo „marizé”. (... Och, ty moja mulata, och ty moja murena!).

— Zabierajcie się z nami, jest dziś tańcówka u Zeki na krzyżówce, muzyka darmo, piwo darmo dla dziewcząt „gazosa”, viva! Niech żyje dr Lopes! Hajda, gajtero, graj sambinię!

Wymizerowany kaboklo cleszy się, że panowie z miasta przypominają sobie o jego istnieniu. Oblepują się siarczyście po łopatkach, podszczypują zapadłe policzki jego dzieci, rozrzucają hojnie cukierki. A przy tym rakiety, setki i setki rakiet pękają z hukiem w powietrzu, więcej niż na odpuszcie św. Antoniego. To ci dopiero propaganda!

Program partii dra Lopesa? — Po co? Nikt go nie porusza nawet i tak by nie z tego nie zrozumiał. Do przekonania obywatelskiego trafia najlepiej „sambinia” i huk rakiet.

Nie dziwnego za tym, że na samą wziankę o oświeceniu rolnika lub o organizacji zawodowej ciarki przechodzą dra Vidala i dra Lopesa, obydwóch — ekscelencji, deputowanych i przedstawicieli ludu w kongresie (deputowani kongresowi stanowiący i federalnego od pewnego czasu tytułują się urzędowo ekscelencjami!).

Władysław Wójcik

Zemsty grom i siła życiodajna



Mal. G. Sawicki

DYMITYR FURMANOW

NA PRZEDPOLACH PAŹDZIERNIKA

WCHODZĘ na rozległy podwórce fabryczny. Przypomina mi rozpostartą, zasmoloną bluzę robotniczą, z której deszcz splukuje powoli smary, wapno, naftę i mocno przylepię grudki błota...

Na opustoszałym podwórku smutek jeszcze większy niż na wyludnionych ulicach...

Niewielki pokój komitetu fabrycznego ciemny i czarny od dymu.

Jesteśmy tutaj od wczesnego ranka: nie dokończyliśmy wczoraj szyć jedwabistych chorągwi i budowy pomostu teatralnego, a teatr dzisiaj trzeba uruchomić. Pierwszy Maja. Zastaniam się na miejscu Katarzynę Łuniewą, jej siostrę Nastię, Gawryłowa, Nikitę Gubana, starego Aleksieja — całą gromadkę — czyżby przypadkiem tu nocowali?

— Witajcie, towarzysze!

— Jak się masz, Paweł! Masz miotek — idź na scenę, potrzebna tam twoja pomoc.

Ochodzę. Ale przed odejściem patrzę, jak zwykle na Katarzynę: pod opuszczonymi rzęsami nie widzę jej oczu; usta surowo zaciśnięte; chusteczka zsunęła się — Katarzyna pochyla się nisko nad robotą. Nie będę przeszkadzać, nie odwrę od pracy, nie powiem jej ani słowa — posłucham lepiej jak będzie mówić robotnikom o Maju: komitet fabryczny postanowił, że dziś mówić będzie Katarzyna — lubią ją i szanują, bo mądra jest i rozsądna, choć surowa.

Długim bez końca korytarzem (takie są tylko w fabrykach) idę do teatru. Zbudowali go w pustym składzie, ongiś zapchanym pod sufit towarami. Przyszedł na chwilę i słucham: cisza. Gdzieś za ścianą słychać stłumione głosy ludzkie, a od przodu rozlega się postukiwanie młotki i zgrzyt ręcznej piły. W korytarzu wilgoć, mrok i nawet trochę straszno, jak w podziemiach... Ciężko tak być samemu — tutaj i tam, na ulicy, na beznadziejnie smutnym deszczu...

Z korytarza przechodzę wprost do składu i biorę się do pracy. Smutek mnie nie opuszcza, a widzę że moim towarzyszom też nie wesoło. Stukamy, pilujemy, strugamy, tnemy, dzwigamy, przybijamy... Upijwają godzinę. Deszcz ciągle pada nieprzerwanie, spływają beśsilne, martwe krople.

Kiedy na parę sekund zapada cisza — milkną młotki i piły — poprzez mury docierają do nas jakieś odgłosy. A im później tym stają się bardziej wyraźne i donośne. Huczy coś... Zrozumiałem, że to rozgwar głosów ludzkich... „A więc nie wszystko stracone — pomyślałem — może święto odbędzie się jak należy... Wraz z rosnącym gwarem i wrzawą przenikało w moją pierś nowe uczucie, spostrzegłem, że stopniowo rozpręża się ów gniołgły, bolesny nastroj, w jakim tu szedłem, jaki wypełniał mnie aż do tej chwili.

*

Robota skończona. Pędzę z powrotem długim, mrocznym korytarzem, który już nie wydaje mi się tak ohydny jak przedtem. Biegnę po schodach i — prosto do okna. Okno wychodzi na podwórecz. Na podwórku pełno robotników.

„Cóż to jest? — omal nie krzyczę. — Więc naprawdę? Więc ani słońca, ani deszczu i chmurne, posępne niebo — wszystko to bez znaczenia...”

Czuje, że twarz mi zalewa rumieniec wstydu i sam sobie wydaję się naraz śmieszny i mały i żalony z mymi kurzymi wątpliwościami dzisiejszego ranka.

Przejęty gonie do komitetu, a tam ani się dostać — wszyscy przejeżdżają wypelnia tłum. Wali do wyjścia — zebrać się miano na podwórku, aby iść na plac Radziecki, gdzie zgromadzić się mają wszystkie fabryki. Tłum płynie, a ja wraz z nim. Gdy dochodzę do drzwi, uderza ta sama, co rankiem, wilgoć, tak samo beznadziejnie i beznadziejnie pada deszcz, tak samo posępne jest otwierane niebo... A mnie tchu brak z radości. Triumfuję, jestem szczęśliwy. Czuje się tak, jak gdybyśmy właśnie kogoś zwyciężyli...

Aż do dziś nie chciało nam pokazać nowych sztandarów. Oto wznoszą się nad trybuną. Odczytuję napisy:

„Niech żyje władza radziecka”.

„Cała władza Radom”.

„Precz z dziesięciu ministrami kapitalistami”.

„Zadamy robotniczej kontroli produkcji”.

„Oddamy ziemię chłopom, fabryki robotnikom”.

„Niech żyje pokój”.

„Precz — przekłętą rzeczą”.

„Niech żyje Międzynarodówka”.

„Śmierć Kapitalizmowi. Chwała Pracy”.

Co za płomienne hasła!

Z jakim zachwytem, z jakim przejęciem robotnicy podają sobie z ust do ust te ogniste słowa. Oto cele, do których trzeba dążyć. Oto sztandary, pod którymi trzeba iść.

Przedem więc, przedem na plac, tam będzie nas więcej, tam wszystkie fabryki przyniosą takie same jedwabne i atlasowe sztandary, na których będą wyhaftowane — nie! — rozżarzoną żelazną będą wypalone takie słowa z ognia i wolania.

*

Opanowana, dumna i silna wchodzi na stopnie Katarzyna.

— Towarzysze! Dzisiaj nasz dzień. Dziś jeszcze głośnie ślemy pozdrowienia robotnikom świata. Dziś jeszcze głośnie przeklinamy rzeź zorganizowaną przez kapitalistów. Nie chcemy już więcej wojować. I nie będziemy. Wobec tych sztandarów, wobec tych hasł — przysięgniemy za wszelką cenę wywalczyć zwycięstwo klasy robotniczej...

Katarzyna mówi krótko. I nie było potrzeby długiego mówienia: natchnione twarze robotników, spojżenia błyszczące zdecydowa-

niem, proste, jakby z metalu słowa, okrzyki zlewające się w burzę entuzjazmu — wszystko to mówi o gotowości walki, gotowości cierpienia, wierze w zwycięstwo. Śpiewamy Międzynarodówkę... ruszamy na plac...

*

Nikogo nie obchodzi posępne niebo, wstrętny, rozplakany deszcz, wilgoć, błoto i kałuże na rozmiętej drodze.

Bierzemy się za ręce i w szeregach, w kolumnach idziemy szerokimi ulicami, a tłum wciąż rośnie, zagarnia ludzi obcych i przypadkowych, którzy oprócz się nie mogą naszej sile i jednolitości, naszym pieśniom.

Dalej więc, dalej więc, wzniesmy śpiew, nasz sztandar płynie ponad trony!

Niesie on
Zemsty grom,
Ludu gniew,
Przyszłości rzucając stów!
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew!

Oto już plac. Grzmia orkiestra — przybyli już rewolucyjne pułki. Sztandary — sztandary — sztandary — wszędzie dokoła sztandary: szkarłatne, purpurowe, ogniste, jaskrawo-czerwone...

Na placu stoi pięć trybun... A z każdej padają te same słowa:

— Na bóg! Na bóg, robotnicy!

Zwycięstwo dopiero przed nami...

— Jesteśmy gotowi! — wołają robotnicy.

— Gotowi! — odpowiadają pułki. Łopoczą sztandary i zdają się również przemawiać, potwierdzać, pochwalać...

Tak w Maju gotowaliśmy się do Października.

Dymityr Furmanow

Fragment opowiadania

ALEKSANDER FADIEJEW

TRZĘSIENIE ZIEMI

NIE poznawał znanych sobie tak dobrze miejsc, a i ludzie stali się inni. Wzdłuż dawnej kolei Usuryjskiej układano tysiące kilometrów drugiego toru. Nocą Majguła bez przerwy patrzył w okno i widział światła traktorów, słyszał warkot zagluszający dudnienie pociągu — traktory dąły nowizny.

Nad bezkresami tajgi zrywały się samoloty. Ich potężny kłopot raz po raz przecinał łoskot pociągu, cienie samolotów ślizgały się po żółtych polach kołchoźnych, po modych wodach rzek i jezior. Samolot stał się taką przynależnością ojczyznego krajobrazu jak skowronek, czy gołąb.

Majguła patrzył na to wszystko wilgotnymi oczyma i myślał: „Oto jest ziemia, którą karczał mój ojciec i bracia, i ja sam — ziemia zroszona naszym potem, naszymi łzami, naszą krwią. A teraz ludzie zaczęli żyć na tej ziemi dobrze i pięknie...” Jego wzruszenie doszło do szczytu, gdy pociąg dotarł do stacji, którą niegdyś opuścił 11-gi Wankowski batalion...

*

Kolej, którą budował Szutka, biegła przez tę samą martwą tajgę, gdzie czternaście lat temu Szutka i Majguła omal nie pozabijali się w złości. Kolej była gotowa już prawie do przełęczy Barchatnej, a miała dojść aż do morza. Szutka miał właśnie wysadzić przełęcz. Władował w nią dwadzieścia sześć wagonów amonalu — rzecz nieznaną, odkąd istnieją ludzie na ziemi. Przełęcz, słynna w całym kraju, była teraz nadziana jak pieróg kapustą, czekający tylko kiedy go zjedzą. Zjawiał się nawet człowiek z dwoma aparatami, dużym i małym, aby utrwalić wybuch na taśmie filmowej, a potem pokazać ludziom.

Wieczorem kręta drezną pojednali wszyscy trzej linia, zbudowaną przez Szutkę, do Olchówki, skąd zamierzali zabrać starego łowcę tygrysów, Kondrata. Do przełęczy udali się już we czterech. Jechali powoli — szyny były ułożone prowizorycznie. Widok oczywiście zmienił się teraz nie do poznania. Martwa tajga przerabana była wzdłuż całej linii, wybuchy pochłaniały ją tak, że tylko szczytów nie pnie sterzających jak zepsute żęby. Drezną zagłębiała się w ciemne wawozy, a potem wypelzała na kamienne nasypy tak wysokie, że z obu stron zdawały się rozciągać przepaści. Potok płynął tak samo, ale brzegi miały gołe, związane mostami. Aż śmieśniałyby były szukać miejsca, gdzie Majguła zobaczył zmieję!

Ciemno było, gdy zeszli z drezniny. Szli błotnistą drogą wzdłuż nie-

dokończonego nasypu. Obok baraków i namiotów płonęły ogniska. Budowniczy spożywali wieczór. Nieopodal ryczała ugrzęzła w błocie ciężarówka, jej latarnie mocno świeciły w nocy.

— Wystraszyli twoje tygrysy, dziadku! — powiedział Majguła.

— To nie! Mój wiek już minął — odparł spokojnie Kondrat.

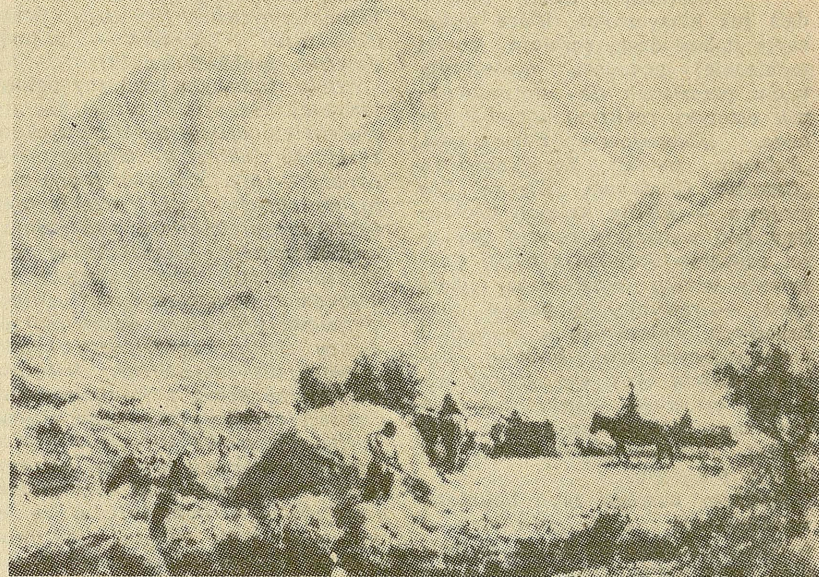
*

Rankiem zaś zginęła przełęcz Barchatna. Majguła i stary łowca tygrysów obserwowali wybuch z odległości dwóch kilometrów. Stali ukryci na niewielkim wzgórzu, skąd widać było i siodło przełazy i całą tajgę dokoła — żółto-błękitną. Tam też umieszcili się operator filmowy z wielkim aparatem na trójnogu.

uchem ale i całym ciałem. Wypa-

dające z chmury kamienie jak pociski zaczęły kruszyć drzewa przy samym wzgórzu, za którym kryli się Majguła i Kondrat. Powietrze wypełniło się całe grzechotem i świstem, w którym rozlegał się jakby i stukot kopyt konskich i łomot młockarni i poświst gigantycznych różg. Poszczególne kamienie uderzały w ich wzgórza, a jeden werznął się potężnie w ziemię o jakie dwa metry od operatora. Ten zaś cały zżalany i spocny kręcił bez przerwy korbą swego aparatu.

Kiedy już było po wszystkim, w powietrzu długo jeszcze stała żółto-bura mgła, najgęstsza w miejscu wybuchu. Potem mgła się roziała i widać było, że brzegi siodła rozsunęły się szeroko, osiadły i w samym środku ziele głęboka rozpa-



Mal. U. Tansykabajew

Widzeli krzątające ludzi na pobliskich, wygolonych wzgórzach, słyszeli głos Szutki, który wymyślał komuś na czym świat stoi. Potem krzątająca ustała, ludzie pochowali się, było bardzo cicho.

Nagle cała masa przełęczy Barchatnej zaczęła wolno rosnąć w powietrzu, a w miejscu gdzie było jej siodło gwałtownie uniosła się ku niebu ciężka, czarna chmura. Z początku chmura szła w górę słupem, później powoli zaczęła rozszerzać się wszędy. I wtedy dopiero rozległ się huk wybuchu, w twarz uderzył prąd powietrza, widać było oddzielne gazy leżące w pyle i dymie.

Huk wybuchu nie przypominał wystrzału armatniego, czy uderzenia piorunu — był to głuchy podziemny łoskot wypełniający całą przestrzeń dokoła i przechodzący falami pod ziemią, tak że Majguła i Kondrat odczuli go nie tylko

dłina usypana zwałami odłamków skalnych; spoza nich przeświły w oddali błękity nieba.

Tajga dokoła byłej przełęczy Barchatnej rozmieciona była do czysta, wyniecioną doszczętnie. Cała okolica leżała goła, w szarym pyłu, usypana kamieniami i szczątkami pni.

Ale najdziwniejsza rzecz wyszła na jaw trzeciego dnia po wybuchu. Na budowę przyjechał stacyjny, szpakowaty starszy, który okazał się profesorem i kierownikiem stacji sejsmograficznej. Stacja odnotowała w tym rejonie trzęsienie ziemi i profesor przyjechał dla zbadania przyczyn. Długo czasu nie mógł uwierzyć, że ziemia zatrząsał z własnej woli Trofim Szutka, a gdy uwierzył, ucieszył się jak dziecko.

Aleksander Fadiejew

Fragment opowiadania

KONSTANTY PAUSTOWSKI

SPOTKANIE W STEPIE

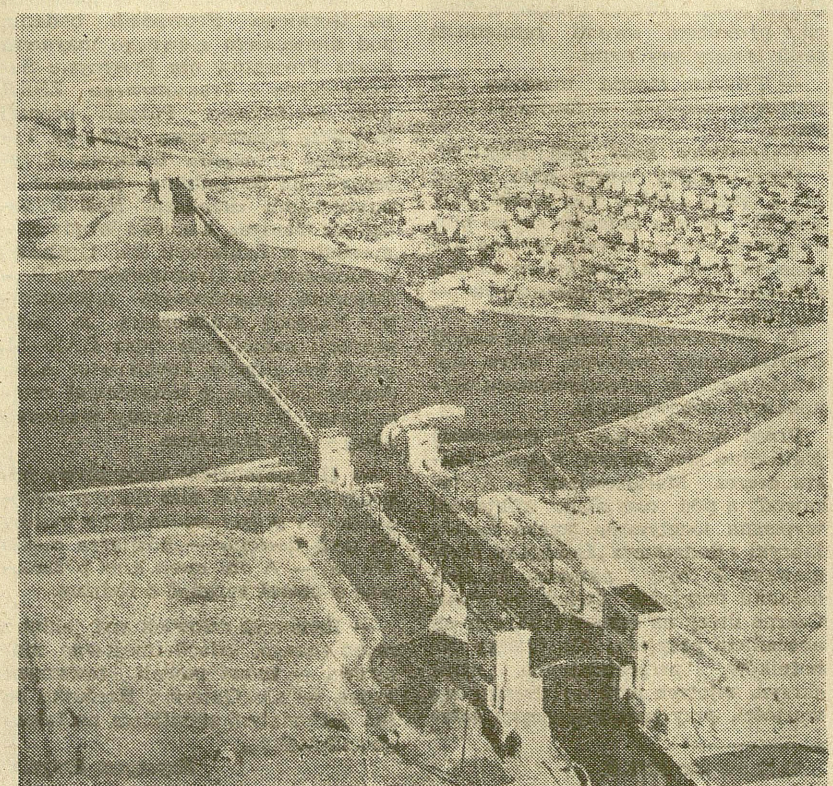
GAZIK pędził po stepie. Miękką jak wata pył leżał na drodze, niczym bura, rozpostarta w nieskończoność baranica.

Pagórkowate pasmo dymiącej pyłem czerwonej gliny pozostało za nami. Ciągnęło się aż po widnokrąg i ginęło w białawej mgiele. Była to trasa Kanalu Włgo-Dońskiego — zwąły się nim wydoły przez ekskawatory i koparki. W miejscach, gdzie ekskawatory pracowały obecnie, pył kosmatymi jeziorami wbił się do nieba.

— Upał tu jakiś stojący, niech to licha! — mówił wdychając kierowca. — Gdzie się nie ruszyć, wszędzie upał i upał!

Istotnie, upał był gęsty, zakrzępy w bezruchu jak staw. Miało się uczucie, że między niebem a wysychającą ziemią nie ma już ani lyku świeżego powietrza.

Jechaliśmy od kanału na budowę urządzeń zraszających w stepach za Donem oraz Salskich.



— Państwo betonu! — powiedział mi kierownik dońskiego odcinka. Spojrzałem na niego. Jego brązowe ubranie zrobiło się zielonkawe od pyłu cementowego. Twarz, a nawet oczy kierownika były cementowego koloru. Na ten kolor było zabarwione dosłownie wszystko — maszyny, ludzie, ziemia, a nawet, jak gdyby i obłoki, nieruchomo przyrosłe do nieba.

Beton płynął z fabryk wibrującymi rurami i korytami, zwodził go ciężarówkami w zbiornikach, przypominających gigantyczne banki na mleko. Wszędzie mówiono o betonie, o setkach i tysiącach metrów sześciennych betonu — owej ciągłej masy przekształcającej urządzenia kanału w monolity. Beton służył miał na wieki. Wszędzie słyszeliśmy: „Beton tego nie znoś”, albo „beton woli to, czy owo”. Mówiło się o nim niemal jak o żyjącej istocie.

Teraz wydaliśmy się z państwa gliny i betonu. Upał wzmagał się, zbierał. Postanowiliśmy przece-

kać go w osiedlu Szabalino, gdzie według słów kierowcy są nawet ogródki i cień, niezwykły, czarodziejski cień żywych, szumiących liści akacji.

„Gazik” skręcił na połą drogę i długo jeszcze pędził sapiąc i męcząc się w upale, lecz osiedle ani rusz nie pokazywało się. Były tylko miraż w kształcie zamglonych drobnych jezior, do których w żaden sposób nie można było dojechać. I były łące burzany, chomiki i białe żar słońca.

Wreszcie z siwej mgiełki wyłoniły się, również wyglądające jak miraż, nowe kryte dachówką domy, ogrody, parkany.

— Co za dziw! — powiedział z lekkiem kierowca — przecież to nie Szabalino! Nigdy nie było tu żadnego osiedla. Ładna historia! Ani rusz wyznaczyć się w tym stepie!

W tym momencie nam się powiodło. Na obrzeżeniu drogi stał człowiek z podniesioną ręką. „Gazik” zatrzymał się.

— Podwieźcie mnie do stacji — powiedział człowiek. Był czarny od słońca i niósł na plecach zakurzone buty.

Wtedy to między kierowcą, a owym człowiekiem odbyła się następująca rozmowa:

— Step mnie, rozumiesz, omamia — rzekł kierowca. — Pojąć nie mogę co to za osiedle przed nami. Z dziesięć razy tedy jeździłem, a pierwszy raz je widzę.

— Ależ ty, przyjacielu, nie mogłeś go zobaczyć — odparł tamten — bo jeszcze miesiąc temu tej stacji wcale tu nie było.

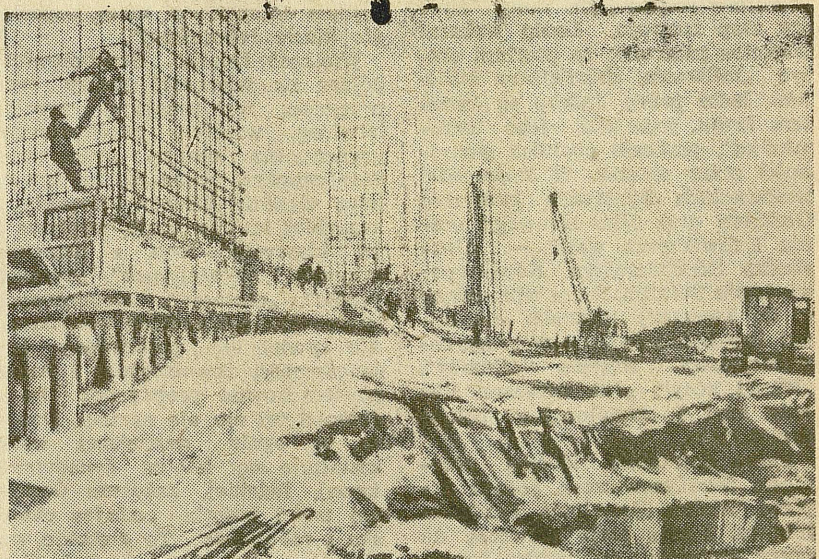
— Jakiej stacji? — A Czyrskiej. Przenieśli ją tutaj za Donu. Nad brzeg przyszłego morza.

— Zartujesz! — powiedział z niedowierzaniem kierowca. — Kiedy zdążyli ją przenieść?

— A przez ten czas, jak ty kręciłeś się po stepie.

— No, no! — rzekł kierowca i dodał gazu. — Ależ dopiero! — powtórzył. — Jaki ten nasz naród, naprawdę, predki. Obrótny naród z tych budowniczych. Ich i „gazik” nie dognąć A ty kto jesteś? Moze z Czyrskiej stacji?

— Skąd! — odparł człowiek z butami na plecach. — Ja tu jestem



tylko czasowo. Moje zajęcie już przestarzałe dla tych okolic. Ostatnie to już — w moim zawodzie. Trzeba go zmienić.

— Co za zawód?

— Studniarz. Kopiemy w Czyrskiej studnie. Tylko że to wszystkiego na jakiś rok. Podejdzie tu morze Cymiańskie i nasze studnie będą tu potrzebne jak wielbłądowi twój „gazik”.

— No, no! — rzekł kierowca. — Cuda się dzieją na tej naszej ziemi radzieckiej. Po prostu, można powiedzieć, cuda! Jak tak dalej pójdzie, to i mój „gazik” niedługo pójdzie w odstawkę.

— Bardzo możliwe! — przytwierdził tamten. — Czas mamy pośpieszający. Któregoś dnia wyjmiesz zegarek, popatrzyś i pomyślisz sobie: ależ to słamazara, ani rusz tempa nabrać nie może!

— Rozesiał się.

Wysiadł i poszedł szeroką ulicą nowej stacji, usłaną jeszcze sośnowymi wiórkami. Cienia tu nie było. Jeszcze nie sadzono drzew.

W pierwszej chacie napiliśmy się wody. Wyniosła ją nam młoda dziewczyna. Twarz zaśliniała od słońca białą chusteczką i widać było tylko siwe, poważne oczy i gęste brwi.

— Czekacie na morze? — zapytał ją kierowca.

— A czekamy — odparła spokojnie dziewczyna, a poważne jej oczy nagle uśmiechnęły się. — Jak pomyślisz, że za rok będzie tu pluśkać i szumić woda, to aż mi

serce tłucze się jak opętane. A serce mam bardzo zdrowe. Widzicie, jaka tu ziemia? Złoto! A sucha jak pieprz.

— A czy to prawda — spytała nagle — że nad morzem zawsze wieje świeży wiatr?

— Prawda — odparł kierowca. — A co, czy ty nie widziałaś morza?

— Nie widziałam — odrzekła ze smutkiem dziewczyna. — I tak go czekam razem ze wszystkimi. Tam on będzie, widzicie? O, tam!

Dziewczyna wskazała na step, w stronę Donu. Poprzez splekotę i stepowe dale ledwo widoczne połykiwała ołowiana smużka.

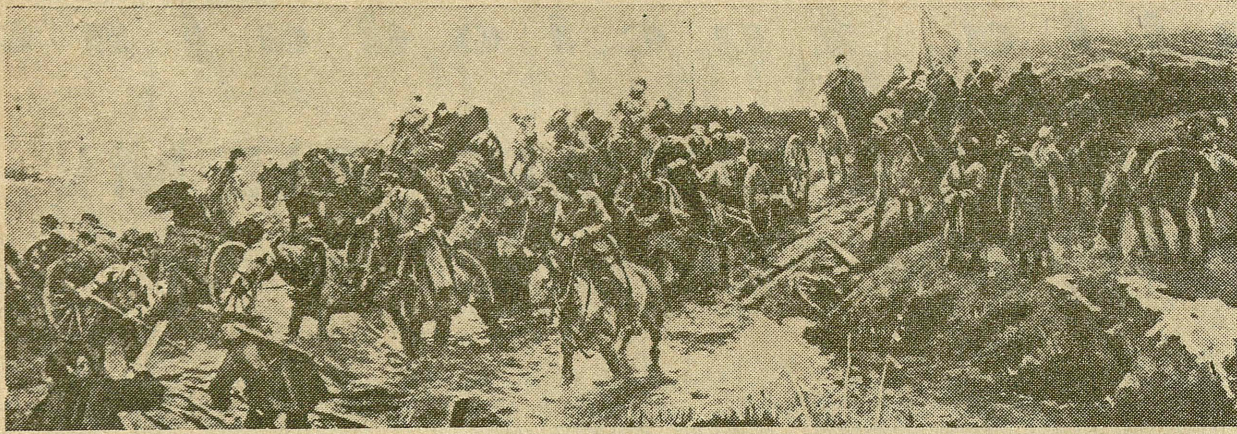
Dzień chylił się już na drugą stronę i mgła na widnokręgu zmieniła barwę, zbłękitniała.

A czasem, kiedy tak wyjdę na próg — powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się wstydliwie — i zmruję oczy — widzę to morze, całkiem jak przed sobą. Ano, i wy spróbujcie!

Przymrużyła oczy, osłoniła je dlonią od słońca i spojrzała w dal. I owa dal, najczystszej, wydała jej się taką, jaką będzie tu już za rok — szumiącą i świeżą dalą morską. Albowiem przymrużone oczy dziewczyny stały się znacznie piękniejsze niż przedtem — jaśniały w nich, jeszcze nieśmiało, szczęście.

Konstanty Paustowski

Opowiadania Furmanowa, Fadiejewa, Paustowskiego — tłumaczył Julian Stawiński.



Mal. M. GREKOW

JANUSZ WRÓBLEWSKI

W stronę klasyki radzieckiej (VI)

BOHATER I MASY LUDOWE

ATA 1923 — 26 to okres niezmiennie doniosły w rozwoju nowej literatury radzieckiej. Przyniósł on kilka wielkich utworów literackich, kilka pozycji dziś już klasycznych, które wytyczyły dalsze drogi rozwoju nowej radzieckiej powieści, dostarczyły wielu przesłanek do sformułowania estetyki realizmu socjalistycznego. „Czapajew” Furmanowa, „Żelazny potok” Serafimowicza, „Cement” Gładkowa, „Kłeska” Fadjewa — kładły kolejno podwaliny pod wspaniały rozwój powieści realizmu socjalistycznego, ukazywały wielką przełomową treść epoki — rewolucyjny porządek mas ludowych, walczących o władzę i podejmujących trud budowy nowego świata oraz wystąpienie nowego człowieka, przedstawiciela tych mas, związanego z nimi, najściślej reprezentującego ich potrzeby i dążenia.

Problem nowego typu bohatera, wyniesionej falą rewolucji i wielkiej przebudowy życia, najpełniej może zarysowany został w powieści Aleksandra Serafimowicza „Żelazny potok”. Serafimowicz był obok Gorkiego, najstarszym pisarzem rewolucyjnym. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zeszłego wieku, w dobie wzrastania wpływów dekadencji sztuki symbolizmu, w dobie rozpowszechnienia estetyzmu literatury kapitulacji i zdrady interesów ludu, Serafimowicz kontynuował najcenniejsze tradycje realizmu, demokratycznego nurtu sztuki rosyjskiej. W szeregu świetnych opowiadań obrazował życie i pracę prostego człowieka, mówił o krzywdzie społecznej i wyższym mas ludowych, potrafił z głębią humanizmem zarysować obraz rosyjskiego robotnika i biedaka wiejskiego. Przełomową rolę dla dalszego rozwoju twórczości Serafimowicza miało zetknięcie z Gorkim. Wielki pisarz proletariatu pomógł Serafimowiczowi dostrzec nie tylko cierpienia i nędzę ludu, ale także jego siłę, jego doniosłą rolę jako nosiciela idei rewolucji, idei wyzwolenia człowieka. Rewolucja 1905 r. podniosła całą postępową literaturę rosyjską na nowy, wyższy etap rozwoju. Lenin wskazał wówczas pisarzom, że powinni służyć „milionom, dziesiątkom milionów ludzi pracy, którzy są kwiatem kraju, jego siłą, jego przyszłością”, postawił postulat partyjności pracy pisarza. W kręgu idei leninowskiej dojrzewała twórczość Gorkiego oraz jego ideowego ucznia i towarzysza walki — Aleksandra Serafimowicza. Nowe opowiadania Serafimowicza wprowadziły do literatury nieznany mu dotąd typ bohatera — aktywnego rewolucjonisty. Nowele „Bomby”, „Wśród nocy”, „Jak wieszano” sławiły hart i rewolucyjną potęgę proletariatu.

Pełną dojrzałość ideową przyniosła Serafimowiczowi jednak dopiero Wielka Rewolucja Październikowa. Pisarz staje wówczas do pracy agitatora, publicysty, krzepnie i dojrzewa w ideowej walce o zwycięstwo rewolucji, o podniesienie świadomości mas ludowych. Jako korespondent „Prawdy” objeżdża fronty walki z kontrrewolucją, pisze korespondencje wojenne, głoszące pochwałę bohaterstwa żołnierzy Czerwonej Armii. Pilnie śledzi nowe formy życia proletariatu dźwigającego kraj z ruin, pisze reportażowe uwidczające „nowe wielkie komunizmy”.

Doświadczenia lat pracy Serafimowicza w charakterze felietonisty, reportera i korespondenta wojennego prasy partyjnej rozszerzyły polityczny horyzont pisarza i jego umiejętność rozumienia skomplikowanych spraw nowego życia, nagromadziły bogaty kapitał spostrzeżeń i obserwacji, kapitał wiedzy o nowym człowieku i jego walce o władzę radziecką, o sprawiedliwość i socjalizm. Wiedzę tę wykorzystywał Serafimowicz w najwybitniejszych swym utworach, w powieści „Żelazny potok”, powstałej w r. 1924.

„Żelazny potok” jest uogólnieniem najdonioślejszego procesu społecznego lat rewolucji — obrazuje wzrost świadomości mas ludowej, przekształcającej się w toku wojny domowej w żelazną kadrę rewolucji. Obrazuje też wyrażanie z mas jej nowych przywódców, wcielających jej świadomość rewolucyjną, jej hart i wolę zwycięstwa. Związek nowego bohatera z ludem, jego typowość, jest jednym z podstawowych kanonów postaci bohatera w estetyce realizmu socjalistycznego. W

powieści Serafimowicza związek ten stał się podstawowym przedmiotem autorskiego zainteresowania. Główną tezę utworu. Wzajemny stosunek między Koźuchem i armią tamańską, równoległość i jednokierunkowość procesu przemian masy i bohatera — to podstawowy problem książki.

Armia tamańska, „żelazny potok” rewolucji, to armia formująca się spośród chłopstwa Serafimowicz ukazał, że „chłop — według słowa Lenina — jak człowiek pracy ciążący ku socjalizmowi, przekształcając dyktaturę proletariatu nad dyktaturą burżuazji”. Ukazał także jak bardzo ciągnie chłopca „ustecz ku dawnemu”, „odwiecznemu” kapitalizmowi jego stara dusza „sprzedawcy zboża „posiadacza koni”, „posiadacza samowaru”. Potężny, sugestywny obraz wyrażania świadomości rewolucyjnej masy pracującego chłopstwa zamącony został jednak poważnym błędem, którego wagę dobrze rozumiał sam pisarz, stwierdzając samokrytycznie, że w postaci swej nie pokazał „jak proletariatu kieruje chłopstwem”. Istotnie zabrakło w powieści obrazu świadomego, politycznie dojrzałego i wyrobionego komunisty nie tylko woda, lecz i teoretycznie dojrzałego wychowawcy mas. Tę niedostatkową rolę odegrało w dziejach rozwoju literatury radzieckiej zarysowanie z tak porywającą siłą obrazu kształtowania się rewolucyjnego chłopstwa, sojusznika walki proletariatu. „Kiedy trzech żołnierzy armii tamańskiej opowiedziało mi o swoim przemarszu, wyuczyłem, że jest to właśnie potrzebny mi materiał — pisze o genezie swej książki Serafimowicz. — Uchwyciłem się opowiadania tamańczyków, gdyż, moim zdaniem, marsz ten uszczęśliwił nie odzwierciedlał właśnie przemian w środowisku chłopskim. To właśnie wynikało z opowiadania tamańczyków, że początkowo była to zamarchizowana masa, kmiotkowie drobnooburzący, potem kosztowny, wężony wysiłek, straszliwie walki, lecz, krótko przetrawiając się, uległa przemianom rewolucyjnym i pod koniec marszu stała się masą rewolucyjną, owym rewolucyjnym chłopstwem, które doprowadziło do klasie robotniczej”.

Wielkość książki Serafimowicza polega na wierności obrazu tych przemian, wykluczającej wszelką łatwinę, wszelkie publicystyczne upraszczanie obrazu literackiego. Serafimowicz pokazuje, że żywotowe ciążenie biedoty chłopskiej i kozackiej ku rewolucji, wypływa z jej klasowego losu, z zapiekłej krzywdy „nietutejszych”, „czarnych synów”, „chamów”, ciemniejszych łamami przez kozackich posiadaczy. Ale żywot ten pozbawiony jest świadomości rewolucyjnej i żadna powierzchowna propaganda świadomości tej mu nie naruci. Dopiero w ogniu najcięższej walki kształtuje się istotna świadomość żywej, ludzkiej, każdemu dostępciej treści pojęcia „władza chłopska i robotnicza”. To głębokie, pozabawione łatwin i frazeologii, a jednocześnie głęboko przekonujące ujęcie obrazu rewolucyjnego dojrzewania masy biedoty, jest, występuje szczególnie w końcowych partiach książki. Armia tamańska rozumie sens swej walki, nauczona doświadczeniem własnych przeżyć: „Trafiłi mego konia, to i zdechł — wszystko, co było na wozie rzuciłi i piechotą szli. Chomato, co go ścięło — też rzucili. Babie samowar i cały dobytek przepadł, — a mnie nie żal — ryknął naraz — nie żal. Niechaj tam, bo o tera nasza chłopska władza. A my bez niej jak to ściervo pod łotem... — i naraz zapłakał skąpmi, psimi łzami. Naraz podniosła się fala i przetoczyła z jednego końca na drugi.

— Niechaj żyje nasza rodzona, chłopska władza!

Takie więc ono jest to szczęście! — Zapłonęło nieoczekiwana radością w żelaznych szeregach wychudłych, obdartych ludzi. — To dlategośmy godni i pomordowani... Nie za samą jeno skórę własną biliśmy się!”

Serafimowicz widział najważniejszy obowiązek pisarza w zobrazowaniu nowego etapu historycznego w życiu rosyjskiego ludu. Dawny kronikarz nędzy i cierpienia chłopskiego wytyczył nowe zadania swej twórczości: „będę raczej pisał o tym, jak to chłopstwo kroczy w huczącą ciżbę, o tym, jak niby niedźwiedź młazdy interwentów, obszarników, białych generałów...” Walka klasowa, tylekroć obrazowana przez doświadczonego pisarza, przybrała teraz nową, naj-

ostrzejszą formę wojny domowej. Temu etapowi historycznemu twórczość Serafimowicza sprostala w pełni.

Koźuch, bohater „Żelaznego potoku”, nieugięty dowódca armii tamańskiej, skupia w równym stopniu szereg cech właściwych dawnym bohaterom przedrewolucyjnej twórczości Serafimowicza, co i rysy będące odbiciem wielkiego przełomu w życiu rosyjskiego chłopstwa. Są to rysy nowe, które mogła nadać bohaterowi tylko wielka epoka masowego czynu ludowego. Są to rysy przywódcy wyrastającego z masy, ale związanego z nią każdym włóknem swej istoty; poczucia głębokiej odpowiedzialności za ludzi, którymi kieruje; najbliższego zespolenia z ludem.

W przeszłości Koźucha był okres, gdy dobijał się, wbrew drwinom i szykanom oficerskim, stopnia chorążego carskiej armii. Była to droga upartego darcia się wzwyz, jednostkowa próba wyłamania się — dzięki niezwykłym zdolnościom i szalonej odwadze żołnierskiej — spod praw ucisku, rządzących życiem ludzi jego klasy. Epolety oficerskie oddzieliły jednak Koźucha od narodu, tragicznie ciążyły mu ślady blizny z naramienników w pierwszych dniach rewolucji. — „I oto z tym samym kamiennym, ukraińskim uporem postanowił rozpalonym żelazem, swą krew i swym życiem wypalić te ślady i służyć — o nie, znacznie więcej, niż tylko służyć — oddać się całej sprawie tej biedoty, której był nieodrodnym synem”. Dowództwo, które obejmuje Koźuch nad ogromną armią tamańską, szeroka władza, pozwalająca mu z upoważnienia masy karać bezlitośnie każde złamanie dyscypliny, nie jest teraz dla bohatera sprawą rangi, osobistej ambicji, żądzy władzy. To ciężkie zadanie, które podjął z woli i wyboru biedoty, dla jej ocalenia i dla jej przyszłości. I dlatego go nie ma już dystansu między dowódcą armii a babą Horypną z taboru. Dlatego żelazna wiedza Koźucha opiera się na współdziałaniu z masą jego żołnierzy, jest po prostu jasnym sformułowaniem, nie budzącym wątpliwości rozkazem, opartym na ocenie sytuacji takiej, jaką niejako tworzy oddział. W najcięższej chyba sytuacji, jaką przeżyła armia, w pułapce między wojskami gruzińskich mieniszewików a pościgiem białych kozaków, Koźuch tworzy szalenczo odwagę i genialnie prosty plan przebiecia się, wsparci o rady ludu: „Zeuszą płyną do Koźucha wiadomości, doniesienia, rady, plany, niekiedy nieoczekiwane i pomysłowe. Sytuacja zaczyna zarysowywać się wyraźnie”. Właśnie dzięki najściślej związkowi Koźucha z prostymi żołnierzami jego armii jest on godny miana dowódcy, godny jest zaufania biedoty: „on zna sekret zagadki życia i śmierci, on musi znaleźć wyjście”.

Koźuch nie tylko wyratował swych ludzi, nie tylko uczynił z nich żelazny oddział rewolucyjny. Nauczył ich także honoru żołnierza rewolucji, dał im jasną świadomość celów i perspektyw w walce. Żołnierze rabujący miasto gruzińskie, pokornie oddają łupy po przemówieniu Koźucha, pokornie godzą się na karę chłosty za grabież — ale Koźuch nie upaja się władzą nad tymi ludźmi — wie że posłuszeństwo płynie z poczucia winy. „Leżę pokornie, ale gdyby spróbował powiedzieć im: Pójdźcie, jeśli chcecie, na stronę Kozaków i oficerów! — wtedy wzięliby go na bagnety”. Władza rewolucyjnego dowódcy płynie nie tylko z jego zalet osobistych, z jego odwagi i talentów organizatora, ale przede wszystkim z zespolenia z interesami rewolucyjnych mas. Koźuch myśli po zwycięstwie. „Nie mam ani oja, ani matki, ani żony, ani braci, ani żadnej rodziny — tylko ich mas, których uratowałem od śmierci. Ja, ja uratowałem, ja wyprowadziłem... A takich jak oni są miliony z setkami na szyi — będę się z nich bił. Tu (dokończenie na str. 7)

*) Dotychczas opublikowane artykuły cyklu: R. Hładko, W terminie u A. Tolstoj, nr 38; A. Bartusiewicz, Pozytywni bohaterowie „Czapajewa”, nr 39; I. Maciejewska, „Cement” — epopeja pracy socjalistycznej, nr 40; Z. Zabicki, W czelstwie pierwszej pięciolatki, nr 42; Z. Sikorska, Bohater naszych czasów, nr 46; J. Maciejewski, „Człowiek zawsze idący na czele”, nr 47.

ZOFIA SZPROKOFF

Ludzie nie na próżno żyjący

Gdy mówimy o postaci bohatera pozytywnego, przede wszystkim, oczywiście, zwracamy się do postaci bolszewika, organizatora walki o komunizm, przywódcy mas ludowych — pisze Boris Rurikow w rozprawie „O niektórych zagadnieniach realizmu socjalistycznego”. Wielkim osiągnięciem literatury radzieckiej jest to, że przedstawia ona tych bohaterów nie tylko w stanie już zupełnie „gotowym”. Ukazuje bowiem, jak wyrastają oni z mas narodu, jak rośnie i kształtuje się ich charakter, ich świadomość, chęć i wola walki.

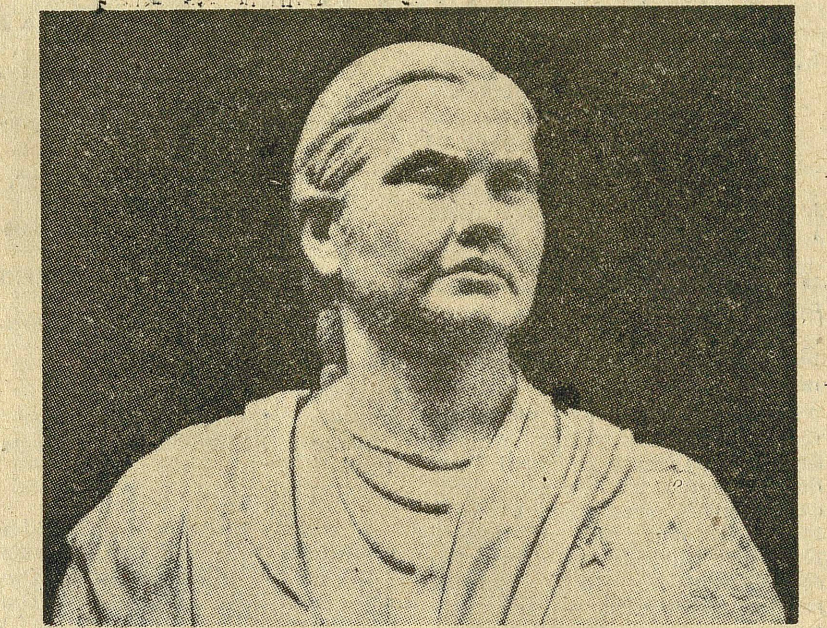
Powieść G. Miedynskiego „Maria” (2) to jedna z tych książek radzieckich, które w sposób prosty i przekonujący rozstrzygają sprawę człowieczeństwa i bohaterstwa. Akcja powieści rozgrywa się w latach wojny i w czasie pierwszej powojennej pięciolatki. Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej stanęły przed ludźmi radzieckimi zadania, które stały się sprawdzianem ich patriotyzmu, hartu woli, nowej komunistycznej moralności. „Maria” ukazuje, jak w tych trudnych warunkach, wobec ze wszech miar odpowiedzialnych zadań ze „zwykłych ludzi” wyrastają bohaterowie socjalizmu. To jest jej główny temat i główne osiągnięcie.

Maria Morozowa, bohaterka powieści, była przed wojną przeciętną kobietą wiejską. Pracowała w kolchozie sumiennie, ale bez owego zapалу, przywiązania do warstwu, które towarzyszą zawsze głębszemu zrozumieniu sensu wykonywanej pracy. Maria była dobrą żoną i matką, pochłaniała ją całkowicie dom, troski i radości rodzinnego życia. W chwili, gdy przed kolchozem Podosienskiej stały w czasie wojny zadania utrzymania przedwojennego poziomu produkcji, a także zwiększenia dostaw dla państwa, dla frontu, Maria włączyła się aktywnie w życie kolchozu. Z pozycji pracowniczki dołączyła do „neutralnego” przechodzi na pozycję aktywistki, czującą się współodpowiedzialną za życie i pracę kolchozu. Maria jest kobietą szczepą i uczciwą, pełną wewnętrznej powagi i surowości, wytrwałą w pracy, umiejacą ją zorganizować i poprowadzić. Zalety jej charakteru — dotąd tylko częściowo ujawnione — rozwija się w pełni, gdy spadnie na nią w ciężkich latach wojny odpowiedzialna praca przewodniczącej kolchozu.

Zasługą pisarską Miedynskiego jest przekonujące zarysowanie przemian, jakie zachodzą w świadomości i psychice Marii. Maria dojrzeje powoli do podjęcia trudnego prowadzenia kolchozu, stopniowo wyrobi w sobie surową odpowiedzialność za losy jego i kolchozistów. Ciężka, nieraz zdawałoby się, ponad siły praca, spadająca na barki kobiet, wyrabiającą się w Morozowej, poczucie odpowiedzialności za dobro kolchozowe, dające krytyczną nieudolność, świadomie skłócającego sprawę kolchozu przewodniczącego — oto niektóre etapy, decydujące o rozwoju charakteru Marii. Ale dojrzewanie obywatelskie i polityczne bohaterki to nie tylko kwestie jej nowego stosunku do pracy, do spraw i losów Podosienskiej; to także jej sprawy osobiste — losy żony i matki. One to — śmierć syna, domniemana śmierć męża, troska matki o córkę — rozstrzygają w

dużej mierze o decyzjach podejmowanych trudnych i odpowiedzialnych zadań. W ich świetle Maria rozumie lepiej związek, jaki istnieje między walką tocząca się na froncie a jej własną pracą i zadaniami stojącymi przed nią i przed całym kolchozem. Dzięki temu Maria jest postacią żywą i prawdziwie ludzką. Jest nią — mimo zbyt może jednoznacznego, „monumentalnego”, chciałoby się powiedzieć, charakteru. Maria to postać imponująca w swej wytrwałości, opanowaniu, surowości, która dochodzi jednak czasem do osłóści. Nie sądzę, by ta cecha charakteru rzucała się w oczy specjalnie w stosunku Marii do Ksiusza, jak pisze Jerzy Skórnicki (3). Wszak walczy w niej długo matczyna miłość, żal nad własnym dzieckiem i troska o nie z pozuciem obo-

Warwara głęboko wzrusza czytelnika matczyną troską o los swoich pięciorga dzieci. Ta nieporadna, cicha kobieta znajduje w sobie po śmierci męża siłę, aby wychować je, zatroszczyć się o ich charakter, o ich stosunek do pracy i innych ludzi. Ale wpraw musi przełamać swoją bezradność i lek wobec życia, jakże trudnego i ciężkiego po śmierci męża. Warwara pod koniec powieści jest w dalszym ciągu cichą i nieśmiałą kobietą. Ale stała się już innym człowiekiem, silnym wewnętrznie, umiejącym odpowiadać za losy swoje i dzieci. Tu należy podkreślić, że Miedynski nie ukazuje przemian swych bohaterów jako przeobrażeń będących tylko ich sprawą wewnętrzną. I Maria i Warwara dojrzewają w kolektywie przy pomocy innych



Rzeź. J. Inowa

wiązku, który każe jej w końcu odejść Ksiuszę z powrotem na budowę fabryki. Pięknie i z wielkim umiarem pokazał tu autor, jak wzajemne przywiązanie matki i córki zmienia się w prawdziwą i głęboką przyjaźń kobiet. Może natomiast wtedy, gdy Maria ze spokojem przyjmuje wiadomość o śmierci syna, gdy tak szybko wykreślił go z pamięci, czujemy żal do autora za zubożenie tej pięknej postaci. Ale to potknięcie nie decyduje przecież o całości obrazu. Znajdującą się na pierwszym planie postać Marii to piękny portret kobiety radzieckiej, narysowany może czasem zbyt surowymi liniami, ale prawdziwy i przekonujący. Postać Marii jest artystycznym wyrazem niezłomnej postawy, ofiarnej działalności tych, którzy w istotny sposób swą pracą na dalekim zapleczu frontu przyczynili się do zwycięstwa.

Miedynski jednak nie posługuje się dla oddania tej prawdy jednym tylko profilem ideologicznym i psychologicznym. Sylwetka Marii wyraża się przede wszystkim w tym, jak bardzo różnorodnym tle drugoplanowych postaci kobiecych. One bowiem dominują w powieści, nawet w części drugiej i trzeciej, kiedy do kolchozu powracają mężowie i bracia. Spośród nich szczególnie godnymi baczej uwagi są Warwara i Anna Porchaczowa. Autor ukazuje na ich przykładzie różnorodność dróg rozwoju ideologicznego, różnorodność typów i charakterów kobiecych.

JAK WYCHOWUJE POMOC

(dokończenie ze str. 4)

— Hotel dla robotników — mówi Rzeżutko. — Podobno najładniejszy w kraju, ale nasz złobek też nie będzie gorszy...”

Długo szukaliśmy z tow. Pajkiem) naszej starej znajomej — koparki z napisem „Woroniejskijskij Eskawatornyj Zawod”. Znaleźliśmy ją w końcu. Grzeblała się w głębokim wykopie pod laboratorium fabrycznym. Ciągłe jeszcze zawała i obrotna, chociaż przeniosła swoim ramieniem setki tysięcy ton ziemi.

— Twarda, mocna maszyna, jak radziecki człowiek — zauważył tow. Pajek.

Wracaliśmy koło hali montażu. Przez otwarte wrota było widać jak z tasiemy zjechał wóz marki „Lublin 51”. W mig znalazły się na nim czerwone chorągiewki i zielone gałęzie świerku. Z warkotem silnika zmieszal się okrzyk robotników — Hurraa!

To wiwatowała załoga na widok dwutysięcznej maszyny, która dotknęła ziemi w przedterminowo wykonanym zobowiązaniu.

Przed wrotami leży na betonowej platformie stos skrzyń. Napis: „Polska przez Maltaszewice — Awtozawod” a pod rosyjskim alfabetem wypisana fonetycznie polska nazwa fabryki z dodatkami „Lublin, ul. Melgiewska 7” były adresem na tym ładunku przyjaźni dwóch narodów. Czarne litery na sosenowej skryzynie są abecadłem przyjaźni dla tysięcy robotników, przechodzących obok skrzyń, zajętych przy wyładunku zawartości, przy montażu części skła-

dających się w motor dla produkowanych samochodów. Załoga dobrze pamięta tegoroczny czerwiec, gdy radziecki robotnik przysięgnął transport, żeby towarzyszy z FSC ułatwić wykonanie lipcowego zobowiązania i wysłał potrzebne części samochodami do granicy, nie chcąc stracić ani godziny czasu...

Od niego uczyli się tempa i wytrwałości nasi technicy i inżynierowie w Zakładach Samochodowych im. Gorkiego. Prowadzili badania pod kierunkiem głównego inżyniera Biura Projektów dla Przemysłu Samochodowego - Traktowego ZSRZ tow. Sicińskiego. Poznali później inżyniera Czumakowa, technika Tykockiego i majstra Romowa. Przyjechali oni do Lublina pomagać w montowaniu urządzeń. Nasi brygadziery Gładysz, Kubica i Wojda rozmawiali w Zakładach im. Gorkiego z Aleksandrem Dymitriewiczem Proświrinem, nagrodzonym pięciokrotnie Nagrodą Stalinowską za konstrukcję samochodu typu GAZ-51, uczył ich główny konstruktor Aleksander Libgard, a informował czterokrotnie laureat Nagrody Stalinowskiej — inż. Mazochin.

U kapitalistów takie sławy odgrzybiłyby się od mas murem dostojstwa i prosty człowiek nie miałby do nich dostępu — powtarza często Wojda. — A oni mieli czas pożartować a nawet zapytać o rodzinę.

Radziecki człowiek jest jakby z mocniejszego, szlachetniejszego materiału — mówi powoli tow. Pajek — ale Galara i Rzeżutko są już doskonałym zadatkami na takiego człowieka...

Krystyna Pałys.

Zofia Szprokoff

1) Fragmenty drukowane w „Nowej Kultury” Nr 3 z b.r.
2) Grigorij Miedynski, „Maria”, „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1952 r.
3) Jerzy Skórnicki, „Zwycięstwo Marii Morozowej”, — „Życie Literackie” Nr 19 (43) z b. r.

ANTONI STASIŃSKI

MYŚLAŁEM O RUDNIKACH

PATRYZYMEM na kolchozy radzieckie jak na dalszy odcinek drogi, na którą już wstąpiłem. Bo w Rudnikach drugi rok istnieje spółdzielnia produkcyjna.

Ziemie rudnickie ciągną się na 3 kilometry wzdłuż szosy. Dzielią się one jeszcze na dwie części, a jako pozostałość przedwojennych czasów, dwa przystanki wąskotorówki noszą do dzisiaj nazwy: Rudniki - Wiek i Rudniki-Dwór.

Ten drugi przystanek powinien się obecnie nazywać: Rolnicza Spółdzielnia Wytwarzania Rudniki.

Był taki czas — od 1945 do 1950 roku, kiedy tak, jak rudnicy gospodarze siedzieliśmy na swoich kawałkach ziemi. Ale może dlatego, żeśmy byli fornale, łatwiej przyszło zrozumieć, że duże gospodarstwo ma większe możliwości użycia maszyn i zorganizowania pracy, niż drobne działki.

Do Rudnik dzielą się jeszcze na dwie części. Choć wie, rozumie, że starym chłopom trudno pozbyć się przyzwyczajenia i nawyków, walczymy o to, aby ta granica przestała istnieć. Już od jesieni 1951 r. mamy w Rudnikach-Wsi przyczółek: dziesięciohektarowy gospodarz poprosił o przyjęcie go do spółdzielni. Pracuje dobrze, przychodzi codziennie, choć ma daleko. Co go popchnęło do tego kroku? Chyba nasze osiągnięcia. Nie mogę się powstrzymać, żeby o nich nie napisać. Warto bowiem ocenić, jak daleko już jesteśmy i ile jeszcze trzeba nam przejść, by dorównać radzieckim kolchozom. Z tą myślą jechałem przecież, młody przewodniczący, w podróż.

Na 630 hektarach mamy 53 członków. Jaki inwentarz żywy? W oborze: 35 krów dojnych, 3 jałowice, 11 cieląt, 1 buhaj. Przysiółek mały, mogło być 30 cieląt, ale wystąpiła choroba Banga i przyszyca. Kilkanaście krów roziło. Ponadto u członków jest 70 krów dojnych.

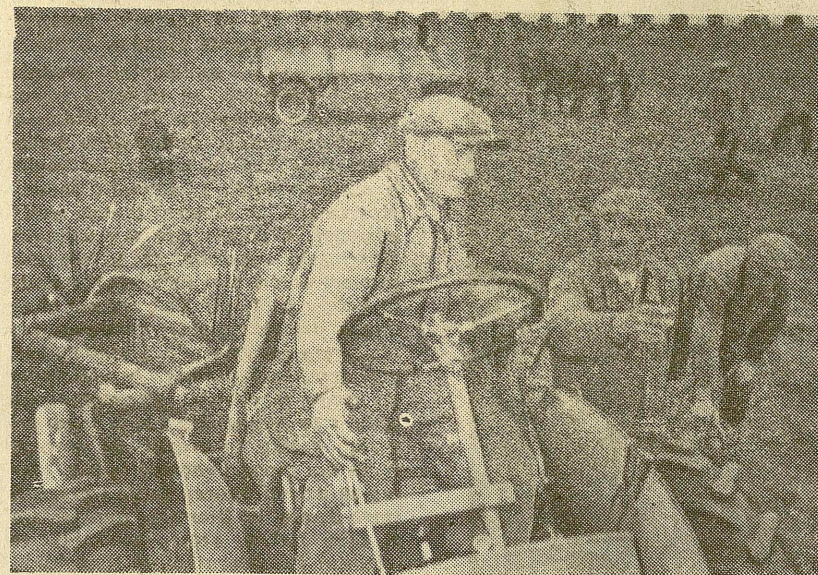
W chlewni: 60 świń, a odstawiłszy już w tym roku 25 bekonów. W stajni: 33 konie, w tym jeden do wożenia mleka.

Z produkcji polową dobrze dajemy sobie radę. Zakontraktowaliśmy między innymi 33 hektary buraków cukrowych i 2 hektary cykori. Wszystko na czas wypielone, bez obcej pomocy. Założyliśmy plantację rabarbaru. Zasadziliśmy sad — jabłonie, śliwy i grusze. Pracuje u nas brigada traktorowa z POM-u w Opalenicy, złożona z 5 traktorów z obsługą.

A ludzie? Ludzie żyją dostatnio — nie tak jak dawniej. Choć jestem najmłodszy w spółdzielni, pamiętam dobrze, jak matka wydziała mi chleb, a ojciec gonil

do roboty. Pan Ruczyński, właściciel Rudnik, nie lubił patrzeć, jak fornalskie dziecko zajmuje się „głupstwami”, nauką czy czytaniem. A ja nie chciałem się starać o łaskę pana dziedzica. Toteż niewiele dobrego użyłem na służbie i w życiu. Dopiero w spółdzielni...

Znalazłem się w grupie, która udala się na południe, do obwodu Mikołajewskiego, położonego blisko Morza Czarnego. Najbardziej



interesowała mnie w kolchozie organizacja pracy i produkcja — bo to jest dla nas w Rudnikach obecnie sprawą najpilniejszą. Temu więc się najwięcej przyglądałem w kolchozie im. Lenina. Liczy on 5000 ha, a zamieszkuje go 2162 osób. Kolchoz ma 800 krów, 1500 owiec, 600 świń, 7600 gęsi, 44500 kaczek.

Kolchoźnicy podzielili się na brigady: polowe, sadownicze, warzywniczą i hodowlaną. Każda ma wyznaczone stałe miejsce pracy, siłę pociągową, budynki, maszyny i narzędzia, a hodowlana także inwentarz żywy. W brigadach pracują zwykle przez szereg lat jedni i ci sami kolchoźnicy. Mają oni przez to warunki do pogłębiania swoich wiadomości, do poznania pracy bardzo gruntownie. Przy tworzeniu brigad bierze się pod uwagę zamiłowania i umiejętności każdego kolchoźnika.

W kolchozie im. Lenina jest 1950 ha pszenicy i 800 ha owsa. Uprawa jest 3 brigady: polowa po 30 ludzi i 3 brigady traktorowe. A mogą je uprawiać dlatego, że praca zmechanizowana jest w 97 proc. i jedynie 3 proc. przypada na pracę ręczną. Maszyny: orzą, sieją, odchwaszczają, dokonują zbiorów i omiotów. Traktoryści wykonują prace po-

lowe według wskazówek i pod kontrolą brygadzysty brygady polowej. Kolchoźnicy pilnie uważają na jakość pracy traktorów. Raz na tydzień odbywa się wspólna narada brygady traktorowej kolchozu i pracującej z nią brygady traktorowej MTS.

Omawia się na niej plan pracy na najbliższy tydzień i wykonanie planu za poprzedni tydzień.

Uderzył mnie fakt, że traktory i

podzielona według specjalności np. do jarku ma za zadanie dojenie krów, karmienie ich i dogładanie. W naszej spółdzielni w Rudnikach też zorganizowaliśmy brygady produkcyjne. Mamy ich 4: hodowlaną, podwózkową i dwie polowe: pieszą i konną. Będą teraz wiedziały, jak ulepszyć ich pracę. Zastanawiam się, czy słusznie zrobiliśmy, tworząc osobną brygadę pieszą i konną. W ten sposób na tym samym polu muszą obydwie pracować, raz konna, raz piesza. Trudno jest zbadać wyniki pracy każdej brygady. Lepiej będzie jeśli dwie brygady polowe będą miały do swojej dyspozycji po równie działce ziemi i równie ilości koni. Będą mogły wtedy współzawodniczyć ze sobą o wyższe zbiory. Tak jak w kolchozie. W kwaterach brygad polowych widziałem bowiem tablice honorowe, na których wpisuje się imiona i nazwiska kolchoźników, którzy osiągnęli najlepsze wyniki w pracy. Poza tym specjalna komisja kontroluje co miesiąc pracę całej brygady, a jeśli ona przoduje, to wręcza się jej nagrodę przechodnią ufundowaną przez Zarząd i organizację partyjną.

„Trzeba to zaproponować na zebraniu” — tak sobie zapisałem w notesie. A potem: „zwrócić uwagę na współpracę brygad polowych z traktorowymi z POM-u”.

Jako przewodniczącego spółdzielni, zainteresowała mnie również sprawa płodzinian w kolchozie. Jest to płodzinian trawopolny Williamsa — a ma on na celu stałe zwiększanie urodzajności ziemi. Występują w nim wieloletnie trawy i mitylowe, które nadają glebie odpowiednią strukturę i wzbogacają ją w próchnicę. W skład takiego płodzinianu wchodzi aż 10 pól.

Pytałem kolchoźnika, który się na tym znał, jakie rośliny mogłyby występować w płodzinian trawopolnym u nas, gdzie nie uprawia się takich roślin, jak ryż, słonecznik czy kukurydza — które są w ich płodzinianie. Doradził mi płodzinian ośmiopólny: 1) trawy i mitylowe, 2) trawy i wieloletnie, 3) zboże jare, 4) zboża jare, 5) okopowe, 6) przemysłowe (rzepak, len), 7) zboża ozime, 8) zboża ozime z wsiwką.

Kolchoźnik zastrzegł się jednak, że za mało są warunki glebowe i klimatyczne mojej spółdzielni, więc powinienem się poradzić agronoma POM.

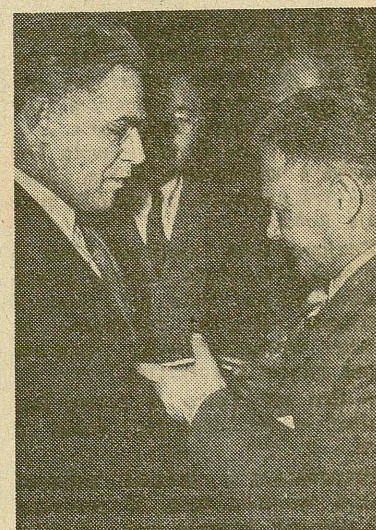
Nie dziwiłem się, że dla mnie najważniejsza była gospodarka kolchozu. Myślałem o Rudnikach...
Również praca na fermach jest

Antoni Stasiński
Rudniki, pow. Nowy Tomyśl

W odwiedzinach u polskich przyjaciół

Aleksy Surkow

W POLSCE gości ostatnio — w związku z uroczystościami miesięcznymi — delegacja Wszechzwiązkowego Towarzystwa Łączności Kulturalnej z Zagranicą (WOKS). Na czele delegacji stanął Aleksy Surkow — znakomity pisarz radziecki, jeden z najwybitniejszych działaczy międzynarodowego ruchu w obronie pokoju, dwukrotny laureat Nagrody Stalinskowej, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, zastępca sekretarza generalnego Związku Pisarzy Radzieckich. Nie jest to pierwszy pobyt poety — znakomitego przyjaciela naszej literatury w Polsce Ludowej. W r. 1950 Surkow brał udział w obradach V Zjazdu Literatów Polskich; jego obszernie przemówienie przyczyniło się niemało do ugruntowania zasad realizmu socjalistycznego wśród naszych pisarzy. Podczas swej ostatniej bytności Surkow, który odbył dziesiątki spotkań politycznych z setkami przedstawicieli społeczeństwa polskiego, był ponownie gościem Związku Literatów Polskich, gdzie wygłosił odczyt o przełomowym znaczeniu XIX Zjazdu KPZR dla spraw literatury i sztuki, pomagając w sposób niezwykle istotny w przeniesieniu osiągnięć wielkiego Zjazdu na nasz grunt. Warto więc bliżej poznać sylwetkę jednego z najsławniejszych przyjaciół Polski Ludowej, pisarza i działacza, który tyle życiowej troski i poważnego zainteresowania okazał rozwojowi naszej literatury, dzieląc się po bratersku wszystkimi doświadczeniami, zdobywając jednocześnie olbrzymią popularność i uznanie wśród swoich polskich słuchaczy i czytelników.



Aleksy Surkow w rozmowie z Władysławem Broniewskim.
Foto Z. Dąbrowiecki

Aleksy Aleksandrowicz Surkow (ur. 1899) pochodzi z ubogiej rodziny chłopskiej. Już jako dwunastoletni chłopiec zarabiał sam na swoje utrzymanie, pracując w charakterze gońca i pomocnika portowych tararzy. Do Partii wstąpił na kilka miesięcy przed wybuchem Wielkiej Rewolucji Październikowej, stając od razu w najbardziej zahartowanych szeregach żołnierzy — czynnych obrońców jej zdobyczy. W r. 1918 w „Czerwonej Gazecie” ukazały się pierwsze jego utwory. Po dopełnieniu zaszczytnych obowiązków obrońcy rewolucji i socjalistycznej ojczyzny, w latach 1922 — 1928 Surkow pracował jako działacz partyjny na wsi. Od r. 1928 przebywał w Moskwie, poświęcając się już na stałe intensywniej pracy literackiej. Pierwszy tom wierszy poety pt.: „Zapiew” ukazał się w r. 1930; zapoczątkował on obfitą, obejmującą przeszło 30 pozycji, serię poetyckich publikacji Surkova. Znajdują się wśród nich takie wybitne tomy z lat 30-tych, jak „Na podstapach k'piesnie”, „Posledniaja wojna”, „Rowiesniki”, „Słowo o drużbie”, „Rodina m'żestwiennych”, „Putiom piesni”, „Tak my rośli”.

Surkow, poeta o olbrzymim doświadczeniu bojownika i działacza, wystąpił od razu jako pisarz o ostrym zarysowanym, oryginalnym profilu twórczym. Sam poeta najlepiej określił genę i treść swojej twórczości, kiedy pisał, że jest „typowym przedstawicielem miliońców rówieśników, tych, wyciżonych z praw, których podjęta przez nich Rewolucja Październikowa uczyniła żołnierzami i budowniczymi komunizmu; przedstawicielem pokolenia, które odczuło po raz pierwszy gospodarską radość odkrywania nowego świata”. Myśłom i uczuciom tego pokolenia poświęcił Surkow swoją wczesną twórczość. Ulubionym tematem jego poezji stały się wydarzenia rewolucji i wojny domowej; jako typowy bohater utworów wystąpił kronsztadzki marynarz, szluszar putiowski, bolszewik — agitator, zawieszony waleczny komunista, oddający życie dla sprawy zwycięstwa rewolucji. Wiersze tego okresu cechuje niezwykle charakterystyczny dla Surkova patos rewolucyjnej heroiki, wolny jednak od „upiększającego” fałszu; znamionuje stałe dążenie do prostoty, dostępnej komunikatywności i szczerości wyrazu. Te właściwości sztuki Surkova umożliwiają mu stworzenie szeregu niezwykle popularnych, pięknych masowych, szczególnie lubianych przez żołnierzy Czerwonej Armii. W latach 30-tych Surkow zdobył poważne uznanie jako jeden z oryginalnych piewców legendarnych czasów wojny domowej, a przede wszystkim, jako autor utworów, obrazujących główny temat twórczości: przesycony patriotyzmem i patriotyzmem tematy obrony socjalistycznej ojczyzny. Ten naczelnym motywem ideowym i artystycznym twórczości Surkova przebrał na siłę w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, kiedy pisarz czynnym żołnierzem — świadcząc — prawdziwie swojej poezji. W tym czasie Surkow w swych licznych tomikach poetyckich („Stichi o nienawisti”, „Soldatskoje serdce”, „Nastupienie”, „Piesnia gniewnowo serdca”, „Piesnia smielczy”) z ogromną siłą wyraził uczucia potężnego, patriotycznego gniewu ludowego, nieugiętej woli zwycięstwa narodu radzieckiego. Surkow umiał mi-

strzowsko w swej poezji odzwierciedlić nastroje prostego żołnierza radzieckiego, który broniąc ojczyzny socjalistycznej, bronił zarazem możliwości pokojowej pracy, radości twórczego życia. Surkow jest w tych wierszach — przy doskonałym rozumieniu trudności sytuacji lat walki z najeźdźcą faszystowskim — poetą proletariackiego optymizmu, wierzącym do końca w zwycięstwo słusznej sprawy. Przejawia się tu w pełni tak istotna cecha realizmu socjalistycznego, o której pisał Stalin w liście do Demian. Biednego: „To bardzo dobrze, że jesteście w „radosnym nastroju”. Filozofia „kosmicznego smutku” — to nie nasza filozofia. Niechaj smuć się ci, którzy konają i których czas przemija”.

Wiersze Surkova w okresie zmagania z hordami hitlerowskich najeźdźców, odegrały olbrzymią rolę mobilizującą do walki i zwycięstwa.

W powojennej twórczości poety — wybitnego działacza międzynarodowego frontu pokoju, na plan pierwszy wysunął się temat walki o pokój, namiętnej demaskacji zamiarów i czynów podżegaczy wojennych. Szczególnie wybitnym osiągnięciem Surkova w tym zakresie jest odznaczony Nagrodą Stalinską tom wierszy pod znamennym tytułem „Miru — mir!” (1949). Poeta potrafił tutaj, używając się manieri abstrakcyjnych inwektyw, osiągnąć dużą konkretność i rzeczowość obrazowania, sławiego ruch obrońców pokoju i piętnującego obóz śmierci i zagłady. Szczególną popularność zdobyły takie utwory Surkova, jak „Podnieście głos swój, uczciwi ludzie”, „Imię — sztandar”, „Do żołnierza amerykańskiego”, które weszły na stałe do kanonu najbardziej znanych i lubianych wierszy radzieckich.

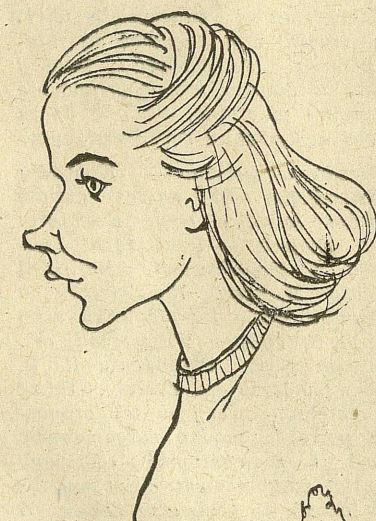
Nieprzemijająca wartość wieloletniej twórczości Surkova najdobitniej określił jego biografista A. Makarow: „Dla rówieśników Aleksiego Surkova, podobnie jak on, niegdyś „szeregowcem wielkiej rewolucji”, pierwsze jego tomy z lat 30-tych brzmiały jak poetyckie wspomnienie sławnej młodości, pobudzające do przemyslenia i przeżywania na nowo, niezapomnianych wydarzeń. Dla ludzi, których młodość zbiegła się z epoką stalinskich pięciolatek, głos Aleksiego Surkova był głosem starszego towarzysza. Wiersze poety odświeżały przed nim bohaterki charakter młodych bojowników epoki wojny domowej — rówieśników Pawła Korażagina, ten wspaniały rewolucyjny charakter, którego tradycja wywarła olbrzymi wpływ na kształtowanie się duchowego oblicza następnego pokolenia bohaterów młodości radzieckiej, pokolenia Zoi Kosodemińskiej, Olega Koszewoja, Aleksandra Matrosowa. Kiedy nad naszą ojczyzną rozpętała się burza wojny, z nową siłą zabrzmiały wiersze i pieśni poety, wyrażające ogólnonarodową wolę zwycięstwa, jednomyślny i wszystkich pokoleń. Nie może zatem nie rzucić się w oczy najistotniejsza cecha poezji Surkova — umiejętność dotrzymywania kroku najważniejszym wydarzeniom życia kraju. Nowy zbiór wierszy Surkova „Miru — mir”, poświęcony walce narodu radzieckiego i całej postępowej ludzkości przeciwko groźbie trzeciej wojny, to najlepsze świadectwo faktu, że talent poety, nie tracąc niczego ze swych właściwości, osiąga z latami coraz większą dojrzałość, pomnaża stale swoje najbardziej drogocenne jakości: bojową operatywność, umiejętność formułowania odpowiedzi na najbardziej palące problemy czasu, młodzieńczą świeżość i bezkompromisowość”.

Zyczymy naszemu znakomitemu przyjacielowi wielu jeszcze tak wybitnych osiągnięć literackich.

Zofia Sikorska

FRANCISZEK ŚNIEG

NA WYSTAWIE POWIATU SŁAWNO



Postanka Zofia Kulińska ze Sp. Prod. Masłowice pow. Sławno.
rys. J. Zebrowski

PISZE to słowa po powrocie z naszej powiatowej wystawy. Ciekawa to wystawa i chyba warta naśladowania — mówi o dniu wczorajszym i teraźniejszym powiatu Sławno. Są więc tu zgromadzone wykresy, plany i mapki, są i eksponaty rolnicze — roślinne i hodowlane, stoiska PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, nowe typy maszyn rolniczych itp. I chociaż nieograbia nasza wystawa i skromne wszystkie plany i części eksponatów sporządzone zostały sposobem gospodarzy przez aktywistów Frontu Narodowego — to przecież co dzień jężdżają na nią z okolicy tysiące chłopów. Dlaczego? Bo każdy z nas odnajduje w niej kawał swojego życia, naszego wspólnego życia gospodarzy na tych pięknych ziemiach pomorskich — nasze pierwsze nadzieje i rozczarowania, naszą walkę i nasze zwycięstwa.

Ja sam, kiedy wracam myślą do

tamtych odległych dni, nigdy nie mogę się dosyć nadszyc, jak wielki szmat drogi już mamy za sobą.

Pamiętam, gdy 6—7 lat temu przyjeżdżaliśmy tu do pow. Sławno niejednemu z nas przychodziło do głowy natrętna myśl: nie będzie tu dla mnie życia. Wciąż jeszcze mam w oczach tę ziemię smutną i jakby umarłą, te drzewa poszarpane od kul, te porożbijane armaty i czołgi po drogach i groby, dużo grobów radzieckich żołnierzy-wyzwolicieli (mamy te groby po dziś dzień pod swoją opieką, ja sam opiekuję się stale dwoma, które są pod Smardzewem, nie zapomniałem też o nich i w dniu Święta Umarłych). Jak okiem było sięgnąć wszędzie odłogi i ugory, a tu konia też mało kto miał, a o traktorach tośmy nawet nie słyszeli.

A dziś? Dziś na szerokich polach 18 gospodarstw naszego Zespołu PGR Ostrowie grają motory 75 traktorów. Martwa — zdawało się kiedyś — ziemia daje coraz piękniejsze plony. Gdy jeszcze w r. 1948/9 sprzątałyśmy żyta po 11 q z ha, dziś, w 1952 r. sypie nam ona 20, 22 a nawet 24 q. Ziemiaków zbieramy z ha 160 i więcej q, gdy w r. 1948 wyciągaliśmy 70. Rozszerzyliśmy plantacje roślin przemysłowych, specjalnych — oto w tym roku brigada Kozbańskiego z PGR Ragórki wymyśliła z ha — 14,25 rzepaku ozimego, a brigada Krajewskiego z PGR Zegocin — 12,30 q — mimo, że dawał się porównać we znakli słodzik rzepakowy. Co rok zwiększa się produkcja tuczników i mleka, buhajów zarodkowych i cieląt, wełny i miodu. Taki jest bilans 7-miu lat naszej pracy. Ale być może, powiecie czytelnicy — PGR to czołówek walki o zagospodarowanie powiatu, jak zaś przedstawiają się odwoły i flaki — bo nawet czołówek długo nie będzie sła napróżd bez podciągania rezerwy.

Dobrze, opowiem Wam o Sierakowie — niewielkiej wiosce, leżącej na skraj powiatu, 25 km od Sławna. Znam tę wieś dobrze — jest to jakgdyby moja druga wioska rodzinna. Tam po raz pierwszy stanąłem jako gospodarz ja, syn biedniaki, z dalekiej Rzeszowszczyzny, stąd poszedłem dalej drogą społecznego awansu — na pracownika Państwowych Gospodarstw Rolnych. Zaglądam więc tutaj często i za każdym pobycem widzę, jak zmienia się życie i jak coraz mocniej wychyla się nowe.

Wież już od roku jest w 100 proc. zelektryfikowana. Przejdziesz wieczorem po domach zastaniesz chłopów nad gazetą i książką, a w 11 domach usłyszysz radiodźwięki (nie licząc szkoły — 7-klasowej, z trzema salami nauczycielskimi). Już to samo mówi o gospodarce: kłóć by w r. 1947 myślał o kupnie radia, gdy tyle dziur do zalatwienia w gospodarstwie! Było wówczas w Sierakowie — na 45 gospodarstw — za ledwie 8 koni. I jakie były, pożałuj Boże, konie: raczej kucyki zebrane ze wszystkich stron Polski: od Opoczna i od Krakowa, z Lubelskiego i Rzeszowszczyzny. A dziś w Sierakowie znajduje się 170 dobrych rasowych koni, ponad 700 krów i duża ilość trzody chlewnej.

Wkracza do Sierakowa maszyna. Nie znalazłeś już tutaj nikogo, kto by chciał mieć cepa, całą gromadę obsługującą młocznia o elektrycznym napędzie. Chłopi stosują szeroko kosiarke, żniwiarki, kopaczki i wiele innych maszyn, wypożyczanych z GOM-u.

I razem z tym, jak rośnie głód na maszyny, jak wkracza do domów gazeta, radio i książka coraz częściej słyszy się w Sierakowie rozmowy o założeniu spółdzielni, coraz ciekawiej przyglądają się sierakowscy chłopcy okolicznej spółdzielniom produkcyjnym.

Jest zresztą się czemu przyglądać. Ja sam, chociażem z PGR-u — często rozdziałam geby, gdy zawitał na pola spółdzielce. Popatrzyłem choćby tylko na plany. Spółdzielnia w Baniewie zebrła w tym roku żyta — 22 q z ha, jęczmienia — 25 a. Tyle samo spółdzielnia w Niemcach, gdy 2 lata temu najęśli z gospodarzy indywidualnych wyciągał 16 q jęczmienia i żyta.

Spółdzielcy w Masłowicach zebrali w tym roku z 1 ha — 17 q pszenicy jarej i 22 q ozimej, t.j. o 4 q wię-

BOHATER I MASY LUDOWE

(dokonczenie ze str. 6)

mój ojciec, mój dom, moja matka, żona i dzieci... Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi uratowałem od śmierci... Taka jest treść związku z ludem nowego bohatera rewolucji.

Historia tematyki armii w powieści Serafimowicza jest historyczną epopeją o walce ludu, o jego drodze ku przyszłości socjalizmu, Ludowy, masowy charakter

Rewolucji Październikowej potrafił autor wydobyc i ukazać z niezwykłą siłą i obrazowością. Lud jest prawdziwym bohaterem „Żelaznego potoku”, lud cierpiący i walczący, nieświadomy i ciemny początkowo — ofiarny i zahartowany w ogniu zwycięskiej walki przy końcu autorskiej narracji. „Żelazny potok” Serafimowicza to piękna książka o ludzie — napędowej siły historii.

Janusz Wróblewski

WOJCIECH DRYGAS

SEWERYN SKULSKI

Panie Cusik!

...o retym!

WÓZ wpada z hałasem na rynek miasteczka. Mimo wczesnych godzin w Łęczycy panuje duży ruch.

— Prrr! — wola Urbańska i wstrzymuje konia. Pietrakowa opuszcza siedzenie i prosi o kości.

— Cóż to? Tylko te cztery kości? — wydziera się jedna z nich.

Pietrakowa z ustami pełnymi chleba rozkłada ręce. W postawie tej wyraża pragnienie swą niewinność.

— Dlaczego tak mało dzisiaj? — nie ustają pytania. — Jak to teraz obdzielić? Jak wzięć?

Pietrakowa pokręciła głowę i swój chleb i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, wyklada swoje racje.

— Tu się, moje kochanie, wszyscy rozbiłi wedle tego skupu... Chłopy się pobuntowali i mówią — nie! A wszystkim uwinien ten łobuz soltys, co to wszystko zdaje z nadwyżką i kręci ludziom w głowach...

— I te ichnie agitatory z tego Frontu Narodowego... dorzuca z wysokości wozu Urbańska. — Taki Krzyżostan, Antczak, Janeczek nie zliczysz jak wielu, już po tysiąc i więcej litrów odstawiłi ponad plan.

— Antczak i Janeczek nie należą do tych agitatorów — protestuje Pietrakowa.

— Moja pani Urbańska — wtrąca jedna z handlarz, k, rozłożysta w biodrach i podkasana po kolana. — Te kłopoty to wasza rzecz — nie nasza. Nasza rzecz odbierać od was masło — wasza dostarczać. Handlujemy... Ale masło musi być. A co to jest głupie cztery kości? Masła jest wszędzie dosyć, jeń trza się trochę lepiej kręcić... Pochodzić trochę...

Pietrakowa się zdenerwowała.

— A chodźcie, chodźcie — po całej wsi chodźcie! Dziś rano przemówiłam się z soltysiem. „Cóż to tak Pietrakowa przewychuje?” — gada do mnie, „Jeszcze Pietrakowa” — powiada — „jednego litra nie dostawiła, z trzema tysiącami” — powiada — „Pietrakowa zuwała, To wstyd i hańba” — mówi — „i bezczelność drugich namawiać do grzechu”. Tak powiedział... To co ja moje mienie mam robić? Tfu z taką robotą, ino ciągle męczy...

Przysiadła na skrzynce, podparła głowę lewą ręką i z nadszany wyrazem twarzy zaczęła pruć waży. Urbańska odbierała pieniądze.

— Pięć kilo dla pani Pukronowej...

— Drogo dzisiaj — syknęła czerwona na twarzy klientka. — Opuściła by pani...

— Ani grosika... — wzdycha Urbańska. — Pan Bóg by mnie pokarał. Ciężkie teraz czasy, człowiek ledwie koniec z końcem...

— Już pani Urbańska niech nie narzeka — krzywi się czerwona na twarzy. — Po co nam bajlować... A do to nie wiemy! 16 hektarów jak ulat, w obórce cztery krówki... A z masłką to chyba wyciąga pani po sto złotych dziennie na czyśto...

Nachylają się nad kobialkami, próbują po troszeczku masła z końca noża i pilnie śledzą, czy Pietrakowa sumiennie odważa. Spieszą się bo za chwilę odejdzie pociąg do Łodzi.

— Podobno ostatnio w Łodzi trudniej w spółdzielniach o masło? — podtrzymuje przerwany rozmowę Urbańska.

Czerwona na twarzy oburzyła się.

— Jakby masło było, tobyś pani więcej przywoziła dla nas...

— A na drugi raz, to mniej niż dziesięć kilo nie biorę... Niech Urbańska nie zapomina.

— A co? Jak będzie mniej, nie weźmiecie? Jeszcze do domu przyłecicie, bioto nie bioto, i prosić będziecie...

— Jeszcze by czego...

— Nie, to nie — wzięła się z honorem Urbańska. Ale zakrzyzczyła ją. Zajęte interesami ucale nie zauważyły, że od kilkunastu minut stoją opodal i przysłuchują się dyskusji. Dopiero teraz Urbańska nagle spotyka się z moim wejściem.

— Daleko do Witoni? — pytam.

— A po co panu do Witoni? — wyskakuje zza wagi Pietrakowa.

— Do Gminnej Rady Narodowej w sprawie mleka.

— To pan jest pewnie ten Cusik — stwierdza zadowolona ze swojej domysłowości Urbańska. — Ale, panie Cusik, mleka nie ma! Co mieliśmy odstawić — to odstawiłim...

— Uśmiecham się wyrozumiale.

— Ja też do obywateli nie mam żadnych pretensji. A do GRN jadę tylko w sprawie niejakiej Urbańskiej i Pietrakowej z Węglewic.

Wojciech Drygas

Postępu nic nie wstrzyma!

BYŁO to 50 lat temu, kiedy miałem siedem lat. Mój dziadek nieboszczyk w staroświeckiej parafiance po powrocie z Łabuń siedem (mieszkał w Łabuń) w Polanówce, odległej od Łabuń siedem rosyjskich wiorst), usiadł ciężko, westchnął sobie kilka razy a potem poważnie powiedział, że panowie, to znaczy dziadzi, chyba w Boga nie wierzą, bo grzeszą dwa razy od razu. Każą ludziom robić na polu w niedziele i każą stać na świętej ziemi jakiś pył śmierdzący. Dziadek zapewniał nas, że za te grzechy dziadzi, jako kara od Boga, przyjdzie taki głód, że ludzie będą umierać. Tak prorokuje Święta Sybilla i tak się stanie.

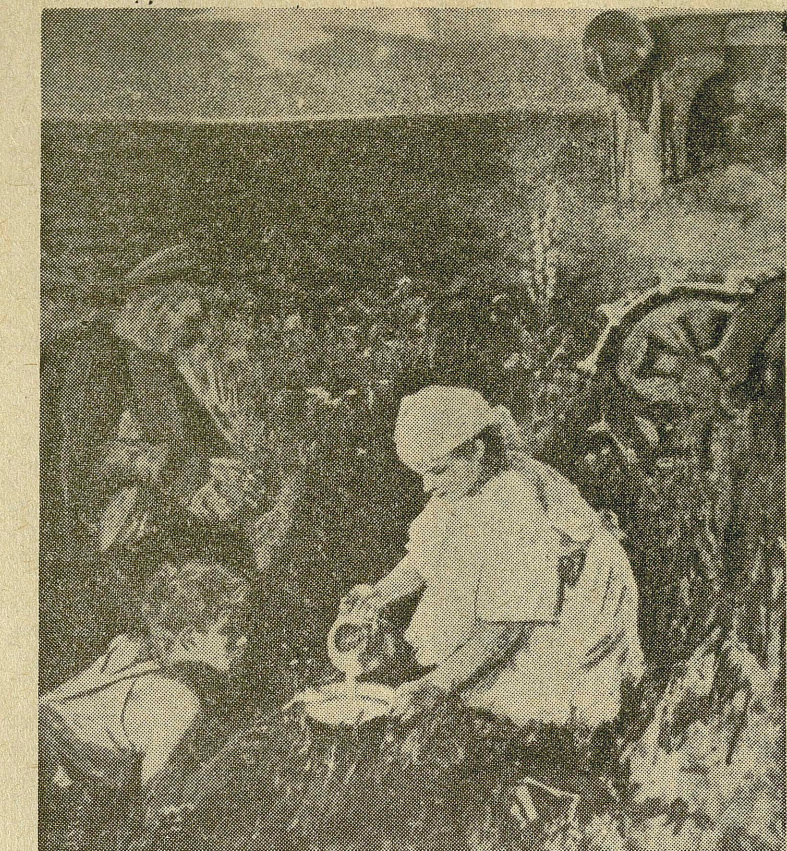
Gdy do naszego domu zeszło się kilku sąsiadów na machorkę, to tematem rozmów były przeważnie strachy i różne widma. Mówiono także o czarownikach, znachorach i wroczach. Moja babka, jaką znaną się na tajemnych praktykach, nadzwyczaj poważano w okolicy. Przyjeżdżała po nią chłopi latem i zimą nawet z daleka, nie tylko do odbierania niemowląt, ale także do zamawiania i zdmuchiwania rzucanych czarów na ludzi i bydło. A z powrotem razem z babką przywoziła słoninę, mąkę, masło, sery, zboże i to co babka uważała za potrzebne. Na własne oczy widziałem, jak moja babka, leczyla chore dzieci. Wzięła dziecko na rękę i huśtała nim nad proszkiem w chlewie, przenosiła go siedem razy przez prosię spłuwala i mówiła: „A pójdziesz, zle, na psa urok! A pójdziesz!”

Raz przyszedł do babki jakiś chłop z daleka z prośbą, żeby mu pomogła, bo go bardzo „w sobie” boli. Babka kazala sobie chuchać w usta trzy razy, poczem wywalała chłupu trzy włosy z głowy, skrupulatnie je zbadała przed oknem i powiedziała, żeby przez trzy noce tylko na brzuchu leżał, to mu wyjdzie z odbytnicy gwóźdź, który w niej utkniął.

Ciotka i my dzieci byliśmy wielce zadowoleni z rozgłosu naszej babki, bo i nam czasem udało się coś leczyć z tych serów, masła i słoniny, a na przedmówku klusków z maki, którą bogatsi chłopcy babce zwozili.

I cóż dziwnego, że na Polanówce i w okolicznych wsiach ludzie wierzyli w takie babki. Na żadnej wsi wokół nie było ani jednego egzemplarza gazety, nikt nie wychodził do miasta na dłuższy czas, ażeby po nowości do wsi szczytę oświaty rozsiać na wsi. Zaledwie dwie albo trzy uczęszczało do szkoły gminnej, a były i takie wsie, z których nikt do szkoły nie chodził. Najbliższe lekarze znajdowali się dopiero w Zamościu i Tomaszowie odległych o 20 wiorst. Oprócz żandarmów wlokących się

co jakiś czas przez wieś nikt do nas nie zaglądał i chyba tylko czasem dziadek z torbami, ale on potwierdzał tylko wszystkie strachy, duchy i widma. Niewiele też powiedzieli ci, którzy daleko, gdzieś w państwie carów w wojsku służyli. Poza codzienną litanią imion rodziny carskiej i



wysokich czynowników, nic więcej ich nie uczyło.

Wiedzieli za to ludzie, że powstała jakaś nowa wiara przeciwko naszej świętej wierze, jacyś Mariawici z Kozłowską na czele. Ilekroć matka gdzie dalej wychodziła, zamykała nas dzieci w domu na kłódce, żeby Mariawici nie przyszli i nie dali nam swoich obrazków do polknięcia, bo wtedy to by już nic naszych dusz nie uratowało.

Raz bogaty gospodarz Ciosek, co prawie sto morgów ziemi posiadał, ożdałował pół rubla i w obrazków kupił kalendarz. Gdy się przeprowadnia o stanie pogody w kalendarzu nie sprawdzała, gdy kalendarz mówił, że będzie pogoda, a był deszcz, to go wynosił na środek drogi i kijem bił.

Tak żyli w tych czasach ludzie nie tylko na Polanówce i we wsiach okolicznych, nie tylko w Lubelszczyźnie, ale w większości naszych wsi w Polsce. Co dzisiaj pozostało z tych wierzeń i zabobonów? Niemowlęta

odbiarają akuszerki, chorych leczą szpitale. Dziś nie ma wsi, na której nie czytanoby co najmniej kilku-dziesięciu egzemplarzy różnych gazet. Dziś już mamy lekarzy w każdym miasteczku, nawet po wsiach. Dziś nikt nie karze za rozszerzanie nawozów sztucznych, bo

każdy z rolników przekonał się o ich potrzebie i wartości. Dziś z każdej wsi ktoś odszedł do miasta. Z każdej wsi ktoś ukończył średnią i wyższą szkołę. Młodzian powracający z wojska niesie na wies pełną świadomości obywatelską. Dziś nikt nie wierzy w pogawędki sąsiadów o strachach i widmach nie mówi. Dziś nas interesuje co omawia się w sejmie, co i gdzie się buduje, jak ziemię uprawiać, ażeby większe plony wydawała. Mówi się o potrzebach wsi, o gazetach i książkach. Mówi się jak jest w sklepie spółdzielczym, jak pracuje, a jak powinna pracować Gminna Rada Narodowa, gdzie są niedociągnięcia i dlaczego. Mówi się o nauce młodzieży. Mówi się o spółdzielniach produkcyjnych, które powstają w całym kraju, dlaczego powstają, jak je organizują i jakie jest życie w tych spółdzielniach i pracy. Jest to chyba najżywszy i najczęściej omawiany temat na wsi. Są tacy, którzy mówią, że się nie nie zmienia. Udać oni, że nie zauważyli

Wszystko byłoby pięknie, ale wychodzi z tego ciężkie straty gospodarcze. Mnie zastanawia kłopot, którego wzięcia za lisa, soltysowe upaprane w błocie świnie w zapale myślowym wzięli za dziłki. Najbardziej zastartym myślowym jest kierownik szkoły ob. Stefanowski. Ma on Jamnika, którego używa w charakterze zwierza. Ten wół szuka chomików pod ziemią, nikt nie tropi kuropatwy i oblane pola nam rozgrywa. Stefanowski poluje najchętniej w pobliżu stodoł, gdzie, jak mówi, najłatwiej o zwierza i ptak. Wielkie z tego wyniki hehe, bo niedawno ob. Łukaszeński miał maszynę w stodole, a tu jak nie huknie! Kon się z kieratu

spłoszył i zlamal dyszel, przez co i skup pałkowy wzięli za kłopot. Myślę, że kierownik szkoły ob. Stefanowski, który w tym czasie był w Warszawie, powinien był przynieść z tamtąd trochę kuropatwy i oblane pola nam rozgrywa. Stefanowski poluje najchętniej w pobliżu stodoł, gdzie, jak mówi, najłatwiej o zwierza i ptak. Wielkie z tego wyniki hehe, bo niedawno ob. Łukaszeński miał maszynę w stodole, a tu jak nie huknie! Kon się z kieratu

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa ul. Wileńska nr 12 tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa ul. Starynkiewicza nr 7

Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 lub wewnętrzny 91, 63.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł. półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-29320

STANISŁAW KRAKOWIAK

„Książka dla rodziców”

KAŻDY człowiek ma swoją ulubioną książkę. Dla mnie — nauczyciela — taką ulubioną książką jest „Książka dla rodziców” Makarenki. Czytałem ją już po raz trzeci i zawsze znajduję w niej ogrom tematów i problemów, które zachęcają do zwrócenia bacniejszej uwagi na współczesne wychowanie w rodzinie — w tej obok szkoły, podstawowej komórce kształtowania nowego człowieka.

W szeregu opowiadań wykładana Makarenko cały system wychowania w rodzinie: przedstawia jego rozmaite warunki i konkretne metody, opowiada o autorytecie rodzicielskim, o karności, o zabawie, o zaprawianiu do pracy, o wdrażaniu do kultury.

Książka ta przeobraża zachwyceną ugr dawnych pojęć o wychowaniu, usuwa odłogi przyzwyczajone i naleciałości w dziedzinie etyki rodzinnej, zadaje kłam wrogim insynuacjom, jakoby rodzina w Związku Radzieckim była nieposzanowana i nieustannie narażona na rozbicie. Tak glosiły przed wojną ambony i reakcyjne pisma. Te plotki o „wolnych małżeństwach”, „luźnych rodzinach” trzeba rozbijać i demaskować w terenie, szczególnie na wsi, tak jak przy współdziałaniu plotki o wspólnych kottach.

„Rodzina — pisze Makarenko — jest naturalną, elementarną komórką społeczną, ośrodkiem, który podejmuje wroki ludzkiego życia, gdzie w odpoczynku odnawiają się zwycięskie siły człowieka, gdzie rosną i żyją dzieci — największa radość życia”.

Alle wychowanie dziecka w rodzinie nie zawsze odbywa się gładko, bez błędów, nieporozumień, a nieraz tragicznych pomyłek, i dlatego nie wolno pozwolić, by odbywało się samorzutnie.

„Nie można rzeczyć, czy rodzina wychowawcza należy. Nie możemy twierdzić, że rodzina wolno wychowywać, jak chce. Powinniśmy organizować wychowanie w rodzinie, przy czym czynnikiem organizującym powinna być szkoła, jako przedstawicielka wychowania państwowego, szkoła o winna kierować i nadzorować”.

Myślę, że te szczególne wagie, z pedagogicznymi powinny stać się wskazówką i w naszej pracy — szerokości rzesz nauczycielstwa polskiego, a zwłaszcza jego oddziału pracującego w specyficznych warunkach — nauczycieli wsielskich. „Wiem z własnej praktyki pedagogicznej, że dziecko wiejskie znajduje się nieraz jakby pomiędzy młotem a kowadłem. Z jednej strony my, nauczyciele, realizujemy program wychowania socjalistycznego, z drugiej — rodzice po przyjęciu dziecka do domu rozbijają niejednokrotnie wyniki tej naszej żmudnej pracy.

Jakie znamy, nauczyciele wiejscy, środki, aby rugować te niebezpieczne sprzeczności między szkołą a domem, aby wychowanie nie tylko w szkole, ale i w domu poszło w kierunku socjalistycznym?

Przed wszystkim — Komitet Rodzicielski. W naszej gminie Łaznowo istnieją trzy Komitety: przy szkołach w Rokicinach, Łaznowie i Popielawach. Najlepiej pracuje Komitet Rodzicielski w Łaznowie, gdzie kierowniczką szkoły jest Bronisława Wawuszcak, odznaczona przez Prezydenta R. P. Srebrnym Krzyżem Zasługi. Przez rok zaledwie pracy w tej gminie dotarła potrafiła mocno zorganizować zespół i zementować rodziców.

Komitet zorganizował kilka wyjazdów dzieci do teatru w Łodzi. Z dziećmi wybrali się rodzice. Pożyczyli wraz z dziećmi Czesnika, Papkina i Rejenta. Zachwyceni byli sztuką. Odtańd dopytują się o każdą nową imprezę. Dzieci nie skąpią pieniędzy na kino, książkę czy teatr. Przedstawienia i imprezy organizowane przy szkole ścigają rodziców do pięknej świetlicy.

Ogrodzona estetyczna szkoła, zakupiony adapter, otrzymane od Prezydium GRN radio, sprawni sprzęt i kostiumy taneczne, dziesiątki innych drobnych a ważnych spraw załatwionych przez Komitet — to widomy znak wpływu szkoły na rodziców. W ślad za zbliżeniem rodziców do szkoły, powinna nastąpić praca gruntowniejsza i głębsza — przeobrażenie wychowania w samej rodzinie. Komitet rodzicielski w Rokicinach w miesiącu przyjaźni polsko-radzieckiej na czestych zebraaniach zaczął studiować i omawiać „Książkę dla rodziców” — Makarenki. W ślad za Rokiciniakami poszły Łaznowo i Popielawo. Książkę Makarenki podsuwamy dzieciątkom rodziców do czytania i widzimy olbrzymi wpływ lektury na polepszenie wychowania w domu.

W Związku Radzieckim stosowana jest poszczególna pedagogizacja rodziców. Odczytujemy jej potrzebę i w Polsce. Studiowanie prac Makarenki na zebraaniach Komitetów Rodzicielskich, dyskusowanie nad problemami świadomości i nowego wychowania w rodzinie i w szkole — słowem, pierwsze kroki pedagogizacji — to nasz czyn z okazji miesiąca przyjaźni.

Stanisław Krakowiak

Gazetka gminna

O szkołach i gromadach

W zapadłej wiosce Grzybowo-Rzańce, gm. Duchymin, pow. przasnyski, jest szkoła o 3-ech nauczycielach. Dzieci garzą się do szkoły i uczą się chętnie. W czasie letniskowej okupacji w Grzybowo-Rzańcu została rozebrana i wybudowana z niej dom dla hitlerowca. Ale zaraz po wyzwoleniu grzybowscy gospodarze przywrócili swoją szkołę na dawne miejsce. Złożyli ją własnymi rękami. Pracowali dniami i nocami. Aby tylko dzieci mogły się uczyć. Gminna Rada Narodowa pomogła. I szkoła stała na nogi. Dzieci mają szkołę, bibliotekę, radio... Bardzo lubią czytać. Prenumerują kilkanaście piśmieć dziecięcych: „Świat młodych”, „Piomki”, „Piomczyk”, „Świeżyczka” i prasę codzienną. No, to bardzo ładnie! — powiecie. Tak. Byłoby bardzo ładnie, ale... Ale od dużego już czasu dzieje się tu coś dziwnego. Dlaczego? — spytaicie. Ba, zebym ja to wiedział...

Było tak. Agencja pocztowa, która solidnie obsługiwała szkołę i mieszkających wsi, zmieniła się w Krynówkę. Małżeństwo, które prowadziło tę agencję, było z gminy Grzybowo-Rzańce wyłączone z rejestru tej agencji i włączono do agencji w gminie Łaznowo. Porażka! Szkoła straciła kontakt ze światem.

Był raz czy dwa listonosze, zainkasowały pieniądze na prenumeratę i — więcej się nie pokazały. Nie też nie pomogły interwencje kierownika szkoły, nie pomagały spacerować dzieci na pocztę po piśmie. Nie ma i już.

Pod chorągiewkami ludowymi i na mównicach stawali Bartosze. Słuchali ich Bartki. „Patrz Kościuszko na nas z nieba”. Ale kto nie pamięta roku 1947? Bartki podnieśli nową insurekcję. Kto nie pamięta roku 1937? Bartosze wzięli z Kopa wojta Pyrzy z rekami w kieszeniach, bo im Rydz odrzucił prawicę, wyciągnięte do ugody w Nowosielcach. Zapłonęły wie w ognach pałyfakacji. A tu na kwiecień 37 r. szykowa-ła się 143 rocznica Kościuszkowi. Bartosze raz jeszcze chcieli załamać ręce: „Patrz Kościuszko na nas z nieba”. Bartki wzięli imienia „Naczelnika” i... padło dwo chłopów od kul granatowych polcajantów. Kilkunastu rannych zabrano z pola manifestacji.

O burzawach nie zapomniam, o dziedzicach również ale przeszedł mi w pamięć o walce między Bartosami i Bartkami w miechowskim, łusnym powiecie bogaczy.

W obwodzie wyborczym Raclawice (Nr 83) uprawnionych do głosowania było 1898, głosowało 1898. Od głosowania uchylono się 40-ciu członków sekcji Jehow. Zastanawiając się religia, która im zabrania „praktyk politycznych”. A że ta religia ma swoją ciotkę w Ameryce, to nie praktyka polityczna? Tę masę ob. soltys — Bohaterowiec Edward, Żelinski Stefan, Matuszewicz Franciszek przy stał do wykonywania naszego zobowiązania pierwszomajowego. Ugór jak stał tak stał, za to któregoś dnia przybiegli

Czy gromada Wasos w pow. miławskim myślała o swojej szkole? Bardzo nas to interesuje z tego względu, choćby, że zaniedbane całkowicie budownictwo państwowe szkoły w Wasosie, jak i w innych miejscach, nie harmonizuje z obywatelskimi potrzebami w dalszym ciągu traca czas i pieniądze na pieniacie koro- wady. Już od kilku lat jeziora, chodzą, pasza — i wszystko po to, aby nie do- padość do budowy szkoły w miejscu najdogodniejszym dla wszystkich dzieci z tamtego obwodu.

Ważny postąpił mieszkający gromady Zdzisław Stary w pow. przasnyskim, który po spaleniu się budynku szkolnego ani jednego dnia nie stracił. Natychmiast wzięł się do pracy. Złożył tyle, ile ich było stać, otrzymali pomoc z Prezydium GRN i Wydziału Oświaty w Przasnysku, no, i budynek stałszy szybko jak wycałowany. Nie zalewało on wprawdzie przasnyskich kanów. Myśla o budowie dużej, pięknej szkoły. Ale zanim będzie można ich słusne ambicje zaspokoić, dzieci uczą się i — dobrze nawet. A gospodarze ze szlachą dumają na swoje skromne dzieło. Skromne, ale będące świadectwem mądrości, dojrzałości i solidarności gromady.

Podobnie postąpił mieszkający gromady Zdzisław Stary w pow. przasnyskim, który po spaleniu się budynku szkolnego ani jednego dnia nie stracił. Natychmiast wzięł się do pracy. Złożył tyle, ile ich było stać, otrzymali pomoc z Prezydium GRN i Wydziału Oświaty w Przasnysku, no, i budynek stałszy szybko jak wycałowany. Nie zalewało on wprawdzie przasnyskich kanów. Myśla o budowie dużej, pięknej szkoły. Ale zanim będzie można ich słusne ambicje zaspokoić, dzieci uczą się i — dobrze nawet. A gospodarze ze szlachą dumają na swoje skromne dzieło. Skromne, ale będące świadectwem mądrości, dojrzałości i solidarności gromady.

Podobnie postąpił mieszkający gromady Zdzisław Stary w pow. przasnyskim, który po spaleniu się budynku szkolnego ani jednego dnia nie stracił. Natychmiast wzięł się do pracy. Złożył tyle, ile ich było stać, otrzymali pomoc z Prezydium GRN i Wydziału Oświaty w Przasnysku, no, i budynek stałszy szybko jak wycałowany. Nie zalewało on wprawdzie przasnyskich kanów. Myśla o budowie dużej, pięknej szkoły. Ale zanim będzie można ich słusne ambicje zaspokoić, dzieci uczą się i — dobrze nawet. A gospodarze ze szlachą dumają na swoje skromne dzieło. Skromne, ale będące świadectwem mądrości, dojrzałości i solidarności gromady.

Wojciech Strójwas

Bartki i Bartosze

Raclawice od kilku pokoleń żyją tradycją Kościuszkową. Ale Raclawice, w powiecie miechowskim, gdzie na glebie jednej z najlepszych kulciaków zbudowali swoje królestwo. Tradycja kościuszkowska wspomina tu o dwu Bartoszach. O Głowackim z waszcia, i o grupie Bartku, panie dzieje.

Pod chorągiewkami ludowymi i na mównicach stawali Bartosze. Słuchali ich Bartki. „Patrz Kościuszko na nas z nieba”. Ale kto nie pamięta roku 1947? Bartki podnieśli nową insurekcję. Kto nie pamięta roku 1937? Bartosze wzięli z Kopa wojta Pyrzy z rekami w kieszeniach, bo im Rydz odrzucił prawicę, wyciągnięte do ugody w Nowosielcach. Zapłonęły wie w ognach pałyfakacji. A tu na kwiecień 37 r. szykowa-ła się 143 rocznica Kościuszkowi. Bartosze raz jeszcze chcieli załamać ręce: „Patrz Kościuszko na nas z nieba”. Bartki wzięli imienia „Naczelnika” i... padło dwo chłopów od kul granatowych polcajantów. Kilkunastu rannych zabrano z pola manifestacji.

O burzawach nie zapomniam, o dziedzicach również ale przeszedł mi w pamięć o walce między Bartosami i Bartkami w miechowskim, łusnym powiecie bogaczy.

W obwodzie wyborczym Raclawice (Nr 83) uprawnionych do głosowania było 1898, głosowało 1898. Od głosowania uchylono się 40-ciu członków sekcji Jehow. Zastanawiając się religia, która im zabrania „praktyk politycznych”. A że ta religia ma swoją ciotkę w Ameryce, to nie praktyka polityczna? Tę masę ob. soltys — Bohaterowiec Edward, Żelinski Stefan, Matuszewicz Franciszek przy stał do wykonywania naszego zobowiązania pierwszomajowego. Ugór jak stał tak stał, za to któregoś dnia przybiegli

Gdybyście zajęli teraz do naszej Skulskiej Wsi pow. Konin, odnieśliście wrażenie, że jesteście w środku wielkiej bitwy. Strzelanina aż miło! A to wszystko kłótnia zabawa. To tylko polowanie. Te jesieni padł u nas na wszystkich in- teligentów pracujących zół polowania. Polują nauczyciele i urzędnicy od skupi, instruktorzy i referenci. Biegają po naszych ożminach z psami i naganiaczami. Hajda na kuropatwy!

Wszystko byłoby pięknie, ale wychodzi z tego ciężkie straty gospodarcze. Mnie zastanawia kłopot, którego wzięcia za lisa, soltysowe upaprane w błocie świnie w zapale myślowym wzięli za dziłki. Najbardziej zastartym myślowym jest kierownik szkoły ob. Stefanowski. Ma on Jamnika, którego używa w charakterze zwierza. Ten wół szuka chomików pod ziemią, nikt nie tropi kuropatwy i oblane pola nam rozgrywa. Stefanowski poluje najchętniej w pobliżu stodoł, gdzie, jak mówi, najłatwiej o zwierza i ptak. Wielkie z tego wyniki hehe, bo niedawno ob. Łukaszeński miał maszynę w stodole, a tu jak nie huknie! Kon się z kieratu

W bajce o siedmiu braciach śpiących, kiedy jeden z nich otworzył oczy i popatrzył co się wokół niego dzieje, na podobieństwo pozostających zapad nasychniał w sen. I tak się ci bracia obudzili wzajemnie nie mogą, śpiąc w jak najlepszej. Ca prawda w bajce to uchodzi. Gorzej jak w życiu napotyamy na takich braci śpiących, którzy nie chcą się obudzić. Jest najniebezpieczniejsza sprawa. Kiedy oni śpią, za to budzą się inni i korzystają. W Pcimiu (pow. Myśliński, woj. krakowski) Gminna Rada Narodowa przypomina legendarnych braci. Jeśli nawet nie śpi, to

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa ul. Wileńska nr 12 tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa ul. Starynkiewicza nr 7

Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 lub wewnętrzny 91, 63.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł. półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-29320

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa ul. Wileńska nr 12 tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa ul. Starynkiewicza nr 7

Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 lub wewnętrzny 91, 63.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł. półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-29320

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa ul. Wileńska nr 12 tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa ul. Starynkiewicza nr 7

Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 lub wewnętrzny 91, 63.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł. półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-29320